

**KRISTIN GABRIEL**

**Delicje  
Carly**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wszystko zaczęło się wtedy, gdy Sophie Devine poprosiła Carly o przygotowanie w jej kuchni smacznej kolacji. Miała to zrobić dyskretnie, żeby narzeczony Sophie, Tobias Cobb, miał wrażenie, że jego wybranka sama wszystko ugotowała. Biedna Sophie święcie wierzyła w prawdziwość starego porzekadła, które głosi, że droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek. Carly stanęła na wysokości zadania i Sophie mogła podać doskonałe potrawy Carly jako swój własny wyrób. Wszystko szło jak z płatka do chwili, gdy do mieszkania wtargnął poprzedni narzeczony Sophie, profesor Chester Winnifield, uzbrojony w magnum kaliber 357. Zastrzelił i Sophie, i jej nowego narzeczonego. Jedna z kul, które trafiły w Cobba, przeszła na wylot przez poduszkę na kanapie i wylądowała w ciastku z kremem.

Firma cateringowa nosząca bezpretensjonalną nazwę Delicje Carly dopiero niedawno zaczęła swoją działalność. Jej właścicielka nie chciała nawet myśleć o tym, że wypadek w domu Sophie mógłby być dla niej złą wróżbą. Szczerze mówiąc, starała się w ogóle nie myśleć o tamtym zdarzeniu, ani tym bardziej o lodowatym, mrozącym krew w żyłach spojrzeniu profesora Winnifielda, które prześladowało ją we snach.

Tak bardzo się przejęła, że zaczęła nawet rozważać, czy nie wyjść za mąż i nie zająć się rodzeniem dzieci, jak to sobie

wymarzyła jej matka. Na szczęście szok mijał. Carly znów mogła się zająć realizacją swoich marzeń. Marzyła zaś o tym, żeby stać się potęgą w świecie cateringu, a co najmniej najlepszą firmą cateringową w Boise.

Nie będę sobie zawracać głowy żadnymi wróżbami, myślała. Moje potrawy jeszcze nikogo nie zabiły. Każdemu może się zdarzyć, że stanie się świadkiem morderstwa. Zwykły wypadek przy pracy. Kobieta interesu nie może sobie pozwolić na to, żeby jedno niepowodzenie podcięło jej skrzydła. Wprost przeciwnie, powinna nawet spróbować *obrócić* to niepowodzenie na swoją korzyść.

- To moja wizytówka. - Carly wręczyła Violet Speery prostokątny kartonik. Na białym tle wielkimi literami wypisano nazwę firmy: Delicje Carly. Zamiast wykrzyknika narysowany był potężny szparag.

Violet Speery, siwowłosa elegancka pani, była prokuratorem okręgowym hrabstwa Ada. Spojrzała ze zdziwieniem na wizytówkę, lecz Carly wcale się tym nie przejęła. No i cóż z tego, że reklamowała się tak nachalnie? Każdy sposób był dobry, żeby wypromować wymarzoną firmę.

Gazety rozpisywały się o tym morderstwie. Żadna z nich nie omieszczała wspomnieć o koronnym świadku tego zdarzenia, pannie Carly Westin, właścicielce firmy cateringowej Delicje Carly. Ludzie nie lubią, kiedy się do nich strzela. Zwłaszcza przy jedzeniu. Toteż prawie wszyscy klienci firmy wycofali złożone wcześniej zamówienia.

Zaraz potem z banku przyszło ponaglenie w sprawie spłaty kredytu, a dostawcy zaczęli nachodzić Carly w sprawie uregulowania należności. Na domiar złego dziś rano nie udał jej się sernik.

Ile nieszczęść może znieść jedna dziewczyna, zanim się załamie?

Carly nie mogła sobie pozwolić na kolejną porażkę. Dlatego na spotkanie z prokuratorem okręgowym ubrała się w elegancki kostium i buty na wysokich obcasach. Prezentowała się jak prawdziwa kobieta interesu, a właśnie szła na to spotkanie, żeby coś załatwić. Skoro władze stanowe chciały, żeby zeznawała na procesie, to mogły jej w zamian wyświadczyć drobną przysługę.

- Bardzo się cieszę, że zechciała pani przyjść, panno Westin - powiedziała Violet. Otworzyła leżącą przed nią teczkę z dokumentami i włożyła do niej wizytówkę.

Starsza pani wyglądała sympatycznie. Carly miała nadzieję, że zdołają dobić targu.

- Jeśli chodzi o moje zeznanie... - zaczęła.

Drzwi za jej plecami się otworzyły, a w progu stanął potężny mężczyzna. Wypełniał sobą niemal całą framugę. Był wysoki, wyższy niż bracia Carly, a więc musiał mieć prawie dwa metry wzrostu. Dostrzegła takie krótko obcięte czarne włosy, ciemny zarost na twarzy...

Przystojny, pomyślała Carly. Chciała poprawić okulary. Dopiero kiedy dotknęła palcem nosa, przypomniała sobie, że zamiast okularów włożyła szkła kontaktowe. Ręka wróciła na kolano, a policzki pokrył rumieniec.

- Czy Winnifield widział panią tamtego dnia? - zapytał mężczyzna bez żadnego wstępu. Głos miał głęboki, zmysłowy...

- Kim pan jest? - chciała wiedzieć Carly.

- Jack Brannigan. - Mężczyzna rozsiadł się w fotelu, otworzył teczkę, którą ze sobą przyniósł, wyjął z niej jakieś dokumenty, przeczytał je i dopiero potem spojrzął na Carly. - Podobno ukrywała się pani w kuchni panny Divine.

- Nie ukrywałam się, tylko tam byłam - sprostowała Car-

ly. - Dopiero wówczas, gdy zaczęła się strzelanina, schowałam się pod stołem.

- Czy słyszała pani, kiedy wszedł profesor Winnifield?

Carly wcale nie podobał się sposób, w jaki ten obcy człowiek ją traktował. Nawet nie uznał za stosowne porządnie się przedstawić. Miała ochotę dać mu za to nauczkę, ale straciła rezon. Facet był wprawdzie źle wychowany, ale za to niesamowicie przystojny.

- Panna Divine włączyła muzykę latynoską - wyjaśniła, patrząc prosto w oczy źle wychowanego przystojniaka. - Nie chciała, żeby jej narzeczony wiedział, że to nie ona przygotowała tę kolację.

Biedna Sophie wreszcie znalazła mężczyznę, który wydał jej się najlepszym materiałem na męża. Porzuciła dla niego innego wielbiciela - Chestera Winnifielda. I proszę, jak się skończyło.

- Panna Divine wchodziła do kuchni, zostawała tam kilka minut, a potem wychodziła do pokoju, niosąc na tacy kolejne danie - opowiadała Carly. - Słyszałam tylko „La Bambę”. a potem strzały.

- Co było na kolację? - zapytał Jack Brannigan.

- Kaczka z jabłkami. Pyszności! Ale trzeba uważać. Jak się piecze za długo, jest sucha, a jak za krótko, to będzie twarda. - Carly wyjęła z torebki jeszcze jedną wizytówkę i podała ją Jackowi. - Z radością kiedyś ją panu przyrządzę.

Jack wziął wizytówkę. Był jeszcze bardziej zaskoczony niż Violet.

Dopiero teraz przyjrzał się Carly uważniej. Sterczące na wszystkie strony kasztanowe włosy wyglądały tak, jakby nigdy ich nie czesała. Niebieskie oczy, prowokacyjny uśmiech i pieprzyk na lewym policzku. Naprawdę niezwykła kobieta.

Zwykła czy niezwykła, pomyślał, ja mam swoje zasady. A nawet gdybym ich nie miał, to i tak obowiązują mnie przepisy.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. - Jack schował wizytówkę do kieszeni. - Czy profesor panią widział?

- Oczywiście, że nie. Kiedy usłyszałam strzały, uchyliłam okiennice oddzielające kuchnię od reszty mieszkania. Zobaczyłam, jak napastnik strzela do wszystkiego, co jest w pokoju. Nawet pluszowemu misiowi nie darował, więc dlaczego dla mnie miałby zrobić wyjątek? Na pewno nie wie, że przyrządzam najlepsze zrazy zawijane na całym świecie.

- Pan Brannigan nie cierpi zrazów zawijanych - wtrąciła się pani prokurator. - Może spróbowałaby pani zmienić jego upodobania?

- Z radością przygotuję posiłek dla pana Brannigana - powiedziała Carly. Przyszłość ukochanej firmy jawiła jej się w coraz jaśniejszych barwach. - Dla pani także. Słyszałam, że wkrótce będzie się pani ubiegała o ponowny wybór na stanowisko prokuratora okręgowego. Delicje Carly mogłyby przygotować bankiet rozpoczynający kampanię wyborczą. Zaczęlibyśmy od ostryg w sosie szampańskim, potem krem z selerów, jagnię w brokułach, a na deser lody czekoladowe z melonem.

- Bardzo smakowita propozycja. - Violet Speery oparła dłonie na biurku. - Ale nie to miałam na myśli. Chciałam prosić, żeby zgodziła się pani na policyjną ochronę w osobie Jacka Brannigana. Oczywiście tylko do rozprawy.

- A po co mi ochrona? - zdziwiła się Carly. - Chester Winnifield jest za kratkami.

- W tym sęk. - Jack Brannigan pogrzebał w swojej teczce, po czym wyciągnął stamtąd list napisany na lawendowym

papierze. Przeczytał jego treść, zmarszczył brwi, po czym podał kartkę Carly. - Dostaliśmy to dzisiaj rano.

Najpierw zauważyła rysunek. Była to naszkicowana kolorowymi kredkami karykatura kobiety. Kobieta miała wielkie niebieskie oczy i kołtun z rudych włosów. Pod obrazkiem widniał krótki wierszyk. Także napisany kredką, drukowanymi literami, żeby nie dało się rozpoznać charakteru pisma.

WANILIA I CUKIER SĄ SŁODKIE JAK LUKIER  
CO ŚWIETNIE PASUJE DO CIASTA.  
KOZUCHA KŁAMCZUCHA,  
PASKUDNA DZIEWUCHA  
UCISZĘ KUCHARKĘ I BASTA.

- Koszmarna grafomania - stwierdziła z niesmakiem Carly. - A to co za czarownica? - Wskazała palcem rysunek.

- To pani portret, panno Westin - wyjaśnił ze stoickim spokojem Jack.

Carly jeszcze raz obejrzała karykaturę. Ochroniarz miał rację. Brązowe włosy, niebieskie oczy... Dostrzegła nawet małą brązową plamkę na lewym policzku czarownicy.

- Czy ja naprawdę mam taki wielki nos? - zapytała.

- Nie - odparł Jack. Zabrał jej kartkę i schował z powrotem do teczki. - Chyba jednak niewiele pani z tego zrozumiała. Ten list oznacza, że ktoś dybie na pani życie.

- Ciekawe kto? Jakiś wścikły przedszkolak?

Jack zacisnął zęby.

Co z tego, że przystojny, skoro nie ma za grosz poczucia humoru, pomyślała Carly.

- Winnifield powiedział, że wczoraj dostał ten list w więziennej poczcie. Chyba wie pani o tym, że jest on dość znaną osobistością.

- To autor „Po czym poznać miłość”.

- No właśnie. Ten list mógł napisać któryś z jego wielbicieli, ktoś, kto nie może się pogodzić z tym, że jego idol resztę życia spędzi w więzieniu. Nie chciałbym pani straszyc...

- Z pewnością nic pani nie grozi - wpadła mu w słowo Violet. - Przypuszczam, że to tylko głupi żart, ale obowiązują nas przepisy dotyczące postępowania w podobnych przypadkach. Profesor Winnifield jest, a raczej był, osobą bardzo szanowaną w kręgach akademickich. Zarówno jego seminaria, jak i jego książki były bardzo popularne. „Kochaj sąsiada” chyba nawet na krótko pojawiło się na liście best-sellerów. Nic dziwnego, że ma wielbicieli.

Jack przyglądał się Violet z niejakim rozbawieniem. Jej błyskotliwa kariera wisiała na włosku. W najnowszym wydaniu miejscowej gazety podawano w wątpliwość obiektywizm prokuratora okręgowego w sprawie przeciwko Winnifieldowi, bowiem nie było tajemnicą, że utrzymywała stosunki towarzyskie z podejrzanym. Oboje byli członkami tego samego ekskluzywnego klubu i uczestniczyli w tych samych przyjęciach. Na półce jej służbowej biblioteki stały książki Winnifielda, opatrzone autografami autora. Do niedawna, bo ostatnio zniknęły.

- Profesor jest klasycznym typem socjopaty - wyjaśnił Jack. - Uważa się za intelektualnie lepszego od innych ludzi. Jest całkiem możliwe, że sam sfabrykował ten list, żeby panią zdenerwować, panno Westin. Lubi dyrygować ludźmi. Jak lalkarz pociągający za sznurki. Doskonale wie, że nie możemy zignorować takiego listu.

- Całkiem możliwe. - Violet spojrzała na Jacka z naganą. - Chociaż, moim zdaniem, profesor Winnifield przekazał nam ten list w dobrej wierze. Twierdzi, że nie chce, by komuś stała się krzywda.



- Czy mówi pani o tym samym człowieku, który zastrze-  
lił ukochaną kobietę i jej narzeczonego? - zdziwiła się Carly.

Policzki Violet pociemniały pod warstwą starannie nało-  
żonego różu. Nie lubiła, gdy ktoś jej się sprzeciwiał. Ale  
Carly Westin była jedynym świadkiem w sprawie i bez jej  
zeznania nie udałoby się uzyskać dla Winnifielda wyroku  
skazującego. Morderca nie przyznawał się do winy, a ponie-  
waż był czarujący i umiał pięknie mówić, bez trudu zdołałby  
przekonać ławę przysięgłych o swojej niewinności. Gdyby  
Carly z jakiegoś powodu nie mogła lub nie chciała ze-  
znawać...

Violet wolała nawet nie myśleć o takiej ewentualności. Od  
tego wyroku zależała cała jej kariera. Jeśli chciała, żeby  
uważano ją za uczciwego, stanowczego prokuratora, musiała  
dbać o bezpieczeństwo i dobre samopoczucie swego jedyne-  
go świadka.

- Widzę, że rozumie pani, dlaczego tak nam zależy na  
pani bezpieczeństwie - powiedziała. - Jack Brannigan jest  
doświadczonym policjantem, który wielokrotnie ochraniał  
świadków. Będziemy szczęśliwi, mogąc zaoferować pani  
jego usługi. Jestem pewna, że dołoży wszelkich starań, aby  
jak najmniej utrudniać pani życie.

- Bardzo dziękuję - odparła uprzejmie Carly - ale nic  
jestem zainteresowana.

- Słucham? - Oczy Violet zrobiły się wielkie ze zdumienia.

- Nie sądzę, żebym potrzebowała ochrony. - Carly  
uśmiechnęła się do Jacka, jakby chciała go przeprosić za to,  
że go nie chce. - Doceniam troskliwość państwa, ale napra-  
wdę potrafię sama o siebie zadbać. Proces rozpocznie się za  
dwa tygodnie, a ja...

- Za cztery - przerwał jej Jack. - Winnifield załatwił so-  
bie odroczenie.

Carly się zaniepokoiła. Ale nie z powodu opóźnienia procesu i nie ze względu na list z karykaturą, tylko z powodu Jacka. A dokładniej: wpatrzonych w nią szarych oczu.

- Nalegam, aby jeszcze raz rozważyła pani moją propozycję - powiedziała Violet Speery. - Wprawdzie to tylko środek ostrożności, ale obawiam się, że środek niezbędny.

Carly dostrzegła w tej propozycji zawodową szansę. Tak dużą, że nawet Jack wydał jej się znacznie mniej groźny niż przed chwilą.

- Nie zgadzam się - oświadczyła stanowczo. - Przez to morderstwo moja firma bardzo podupadła. - Westchnęła dramatycznie. Chciała, aby pani prokurator uznała ją za szlachetną, ciężko pracującą i skrzywdzoną przez niesprawiedliwy los kobietę. Była gotowa na wszystko, byleby tylko postawić na nogi swoje małe przedsiębiorstwo. - Najbliższe cztery tygodnie i tak pewnie spędzę w domu na wymyślaniu potraw, którym nikt nie zdoła się oprzeć.

- Rozumiem - powiedziała Violet, choć Carly się zdawało, że niczego nie rozumiała. A jednak! - Wobec tego proszę rozważyć możliwość przygotowania poczęstunku na bankiet rozpoczynający moją kampanię wyborczą. - Po tych słowach Violet dla wzmocnienia efektu zrobiła krótką pauzę. - Oczywiście nie będę mogła powierzyć pani tego zadania, jeśli nie zgodzi się pani na opiekę Jacka Brannigana. Muszę dbać o bezpieczeństwo moich gości. Zgadza się pani na taki układ?

- Musimy ustalić podstawowe zasady - oznajmił Jack, wchodząc za Carly do budynku, w którym mieszkała.

- Nie lubię zasad. - Carly prowadziła go długim, mrocznym korytarzem. Z gołej żarówki uczeplonej sufitu zwisała

potężna pajęczyna. - Ale ponieważ to nie jest zwykła sytuacja, więc chyba mogę zrobić wyjątek.

Sprawdził budynek. Z przyzwyczajenia. Gdyby nie oddech, wciąż gapiłby się na jej biodra, które kołysały się miarowo, jakby chciały go zahipnotyzować.

Może to jakiś test, pomyślał. Taki sprawdzian, jak badanie odporności na stres i tortury. Szukali i szukali, aż wreszcie *znaleźli* kobietę, która jest dokładnie taka, jak trzeba. Ma tyle wdzięku, rozumu i taki biust, że mógłbym ją zabić albo pocałować podczas pełnienia służby.

Na szczęście Jack nie miał zamiaru ulegać pokusie. Ani pokusie zabijania, ani całowania chronionego świadka. Choćby ten świadek był właśnie taką kobietą, o jakiej zawsze marzył. Po dwunastu latach nienaganej służby nie mógł sobie pozwolić na żadne ekscesy. Miał zaledwie trzydzieści trzy lata, a już zdobył sobie zaufanie przełożonych. Zaufanie, które zaowocowało awansem, czyli przeniesieniem do Waszyngtonu. Miał się tam zameldować zaraz po tym, jak Carly złożyła zeznanie przeciwko Winnifieldowi.

To już postanowione, przypomniał sobie. Kazali mi ją chronić, bo jestem najlepszy. Nie wolno mi nawet myśleć o tym, że znów chcą mnie wypróbować.

Do windy było daleko, podłoga pod nogami skrzypiała, na brudnozielonych ścianach widniały tłuste odciski palców, a nad tym wszystkim unosił się odór gotowanej kapusty.

To będzie teraz mój dom, pomyślał Jack. Na szczęście tylko na cztery tygodnie.

- Zasada pierwsza: nie palić - zaczęła Carly. Nacisnęła guzik przyzywający windę. - Potrawy wchłaniają papierosowy dym, który może zmienić ich smak.

Skrzeczenie i łomot oznajmiły przybycie windy. Musieli

zaczekać kilka minut, zanim drzwi otworzyły się na tyle szeroko, że można było wejść do kabiny. Kiedy znaleźli się w środku, Carly uderzyła pięścią guzik drugiego piętra. Odczekała kilka sekund, po czym uderzyła go raz jeszcze. Drzwi zamknęły się z jękiem, a winda ruszyła.

- Miła kamienica - zauważył Jack, rozglądając się wokół. W kabinie windy nie było naklejki świadczącej o tym, że ktokolwiek dba o stan techniczny tego urządzenia.

- Można tu żyć - odparła Carly. - Trzeba tylko wiedzieć, jak co działa.

Uśmiechnęła się do niego. Jackowi żołądek podszedł do gardła. Natychmiast wytłumaczył sobie, że zawsze tak się dzieje, gdy człowiek podróżuje zdezelowaną windą.

- O czym mówiliśmy? - zapytała Carly z niewinną miną. - Ach tak, o zasadach. A więc zasada numer dwa: w mieszkaniu się nie biega ani nie skacze. Pani Kolińska, która mieszka pode mną, odwdzięcza się za to spuszczeniem wody, kiedy ja biorę prysznic.

- Postaram się opanować.

- Zasada trzecia: przedstawię cię jako mojego kuzyna ze strony matki. Przyjechałeś z Detroit i zatrzymałeś się u mnie na cztery tygodnie. Potem jedziesz do Anchorage na Alaskę, by trenować przed dorocznym wyścigiem psich zaprzęgów. Twoje psy mieszkają teraz w schronisku, gdzie mają doskonałą opiekę i wyżywienie.

- Bardzo ładna bajeczka. I łatwa do zapamiętania.

Winda zgrzytnęła, zatrzymała się, ale drzwi ani myślały się otworzyć. Jack nacisnął guzik. Nic się nic stało.

- Nie obchodzi mnie, co ludzie pomyślą. Niech sobie gadają, że jesteś moim narzeczonym, że ze sobą sypiamy...

- Carly zaczerwieniła się po same uszy. - Mogą się nawet dowiedzieć, że jesteś moim ochroniarzem. Ta bajeczka jest

mi potrzebna dla Elliota. Za nic na świecie nie chciałabym mu sprawić przykrości.

- Dla Elliota? - powtórzył Jack. Nie spodobał mu się sposób, w jaki wymówiła to imię. Cicho i słodko. Facet o imieniu Elliot na pewno nie zasługiwał na taką kobietę jak Carly.

- Już cztery razy prosił, żebym z nim gdzieś poszła, a ja zawsze mu odmawiałam - westchnęła. - Jest bardzo wrażliwy. Będzie mu przykro, jeśli dojdzie do wniosku, że mieszkamy razem.

Jack skinął głową. Jego antypatia do Elliota zmieniła się we współczucie dla biednego, odrzuconego frajera.

- Więc kiedy spotkam Elliota, mam mówić, że jestem twoim kuzynem i powożę psim zaprzęgiem?

- Zgadza się. - Carly pokazała w uśmiechu równiutkie białe ząbki.

Jackowi jej uśmiech bardzo się podobał. Zdawało mu się, że od tego uśmiechu nawet ponura winda trochę się rozjaśniła.

- A jak go poznam?

- Jest niski, nosi czapkę z szopa i nie ma brwi. Poza tym jest bardzo miły. Prenumeruje gazetę, a kiedy ją przeczyta, to mi ją przynosi.

- Jak tego dokonałaś? - zapytał, przypomniawszy sobie błazeństwa, jakie wyczyniała w biurze prokuratora okręgowego.

- Dwa razy w miesiącu gotuję mu kopytka. To jego ulubiona potrawa.

Carly walnęła pięścią w przypaloną resztę plastiku, która kiedyś była guzikiem otwierającym drzwi windy. Odczekała kilka sekund i powtórzyła cios. Winda raczyła ich wypuścić.

- Nie próbowałaś kiedyś wchodzić po schodach? - zapytał Jack, stawiając stopę na stałym ładzie.

Drugie piętro kamienicy nie było ani odrobinę lepsze niż parter. Z dziury w suficie zwisały czarne kable, na ścianie umieszczono przekrzywione, spłowiałe zdjęcie klauna.

- Nie ma potrzeby. - Carly pokręciła głową. Kasztanowe włosy rozwiały się, jakby potargał je wiatr. - Winda jest bezpieczna, tylko coś w niej nie kontaktuje. Któregoś dnia przesiedziałam w kabinie dwie godziny. Wtedy się zorientowałam, jak to wszystko działa. - Spojrzała na niego tymi swoimi niebieskimi oczami. Była dumna jak paw. - Trzeba nacisnąć guzik, policzyć do pięciu i jeszcze raz nacisnąć. Działa bez pudła.

Poprawiła przekrzywiony obrazek i popatrzyła w głąb korytarza.

- Byłabym zapomniała... - Znów spojrzała na Jacka. - Zasada czwarta: między ósmą a piątą nie rozmawia się przez telefon. Linia musi być wolna, żeby klienci mogli się do mnie dodzwonić.

- Nie ma sprawy. Mam telefon komórkowy.

- Doskonale. No to została nam jeszcze tylko zasada piąta. Nie życzę sobie, żebyś dotykał piersi.

- Ja... - Jack aż się cofnął. - Na pewno nie! Nawet o tym nie myślałem - skłamał.

Widocznie zauważyła, że na nie patrzyłem, pomyślał przeżony. Nie raz. Co najmniej sześć razy.

- Jasne, że jeszcze tego nie zrobiłeś. - Carly uśmiechnęła się łobuzersko. - Masz tego nie robić, kiedy wejdziemy do mieszkania.

Co ona sobie w ogóle wyobraża? I jak ja z nią wytrzymam przez całe cztery tygodnie?

- Jestem tu po to, żeby cię chronić - powiedział, starając

się patrzeć wyłącznie na jej twarz. Nigdzie więcej. - Poza tym obowiązują mnie ścisłe zasady dotyczące intymnych kontaktów z chronionymi świadkami. Jesteś atrakcyjną, zmysłową kobietą. W innych okolicznościach...

- Chodzi mi o piersi bażanta - przerwała mu. rumieniąc się aż po cebulki włosów. - Są w lodówce.

Oczywiście, chodzi o piersi z bażanta! Powiniennem być od razu się tego domyślić.

- I uważaj na mus z dyni. Jeśli przesuniesz miskę na tył lodówki, mus może zamarznąć. - Spojrzała na wielką torbę z jedzeniem, jaką Jack ze sobą przytargał. - Chociaż może lepiej będzie, jeśli oddam ci do dyspozycji jedną półkę lodówki.

- Nie dotknę niczego, co należy do ciebie - obiecał Jack. - Czy to już wszystko?

- Na razie tak. - Skinęła głową.

- Świetnie. - Musiał opanować sytuację. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby ta osóбка owinęła go sobie wokół palca. Tak jak zrobiła to z Violet i z tym biednym Elliotem. - Teraz moja kolej. Zasada pierwsza...

- Nie możesz mi rozkazywać - przerwała. - Violet mi obiecała, że nie będziesz mi przeszkadzał, że prawie cię nie zauważę, a ty tu nagle wyjeżdżasz z zasadami.

- Wystarczy mi jedna.

- O jedną za dużo. Po to zamieszkałam dwieście kilometrów od domu, żeby nikt mnie nie zmuszał do przestrzegania zasad. Zresztą to moje mieszkanie i nikt mi tu nic będzie rozkazywał.

- Zasada pierwsza - powtórzył nie zrażony. - Masz robić dokładnie to, co ci każe.

Nie mógł się opanować. Carly miała tak zbaraniałą minę, że musiał się uśmiechnąć.

- Nic dziwnego, że wystarczy ci jedna zasada! - Zatrzymała się przed odrapanymi drzwiami i zaczęła grzebać w ogromnej torbie w poszukiwaniu kluczy.

- Nie masz porządnego zamka? - Jack patrzył ze zdumieniem na staroświecki zamek, który przy odrobinie wprawy można by otworzyć spinką do włosów.

- Jasne, że mam. Dostałam go od brata na Gwiazdkę. - Postawiła torbę na wyświechtanym chodniku i wyjmowała kolejno rozmaite potrzebne drobiazgi. Wreszcie wyłowiła klucze. - Tylko nie miałam czasu wymienić zamka.

Jack wziął od niej klucz i wetknął go do dziurki.

- Zostań tutaj, a ja sprawdzę mieszkanie - polecił.

- Dziękuję, nie trzeba. - Uprzednio wyrzucone potrzebne drobiazgi jeden po drugim wracały do wielkiej torby.

- Nie będziemy dyskutować na ten temat. Jeśli nie...

W mieszkaniu rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Carly spojrzała na Jacka. Nareszcie się wystraszyła.

- Masz w domu kota? - zapytał.

Pokręciła głową.

- Psa? - Jack nie tracił nadziei.

- Nie mam nawet złotej rybki z twardą głową.

Jack bezszelestnie postawił swoje bagaże na podłodze. Rozpiął skórzaną kurtkę i wyjął z kabury pistolet.

- Nie ruszaj się ani nic odzywaj - polecił.

Carly na wszelki wypadek przykleiła się do ściany. Nigdy dotąd nie widziała z bliska takiego wielkiego pistoletu.

- Zasada szósta - szepnęła. - Żadnej broni palnej!

- Powiedz to temu, kto buszuje w twoim mieszkaniu.

Położył rękę na klamce i naciskał ją powoli. Zamarł, słysząc dochodzący z mieszkania odgłos kroków.

- Zaczekaj! - syknęła Carly. Podeszła do niego i zerknęła na zamknięte drzwi.



- O co chodzi?
- Muszę ci opowiedzieć pewną historię.

Na chwilę go zatkało.

- Bardzo mi przykro - szepnął, gdy w końcu odzyskał mowę. - Domyślam się, że to bardzo interesująca historia, ale na razie będzie musiała poczekać. Odsuń się.

- Ale to bardzo ważne. Mając dziewięć lat, wdrapałam się na wielką wierzbę, która rośnie koło naszego domu. Prawie udało mi się wejść na sam szczyt. Kiedy moi trzej starsi bracia zobaczyli mnie na tym drzewie, wpadli w popłoch i poszli za mną. Nie prosiłam ich, żeby mnie ratowali, ale oni się uparli. Kazali mi się nie ruszać. A potem gałąź pękła pod ciężarem mojego najstarszego brata. Spadł i złamał sobie nogę. Dwaj pozostali tak się przestraszyli, że bali się odechnąć. Musiałam zejść na dół i zadzwonić po straż pożarną.

- Naprawdę? - Jacka ta opowieść ani trochę nie wzruszyła.

- Czy wiesz, jaki z tego morał? - Carly patrzyła na niego wyczekująco, jakby nic innego ją teraz nie obchodziło.

- Cała twoja rodzina to wariaci. Mam rację!'

- Nie masz racji. - Wzniosła oczy ku niebu. - Morał z tego taki, że nie jestem bezradną istotą. Pewnie w to nie uwierzysz, bo moi bracia dotąd tego nie rozumieją. Bez przerwy mi mówią, co i jak mam robić. Traktują mnie jak porcelanową figurkę. Bardzo drogą porcelanową figurkę. Czasami nawet śni mi się, że jestem zamknięta w serwantce. Wyprowadziłam się do Boise, bo chcę żyć tak, jak mi się podoba.

Jack cierpliwie czekał, aż Carly przestanie mówić.

- Skończyłaś? - zapytał, kiedy przestała.
- Tak.
- To dobrze. Teraz zamilknij i odsuń się.

- Nie musisz być nieuprzejmy - obruszyła się. - Idę z tobą.  
- Oszalałaś? - Jack był zrozpaczony.  
- Przecież nie mogę tu stać. nie wiedząc, co się dzieje w moim mieszkaniu. Poza tym, może uda mi się odwrócić uwagę...

Jack miał ochotę posłać ją samą do tego jej przekłętego mieszkania. Opanował się. Schował pistolet do kabury, wziął Carly za ramiona i ustawił ją pod ścianą. Zrobił to ostrożnie, lecz stanowczo.

- Nie ma mowy - oświadczył. - Będziesz stała tutaj, bo tu jest bezpiecznie. Pamiętasz pierwszą zasadę?

- Nie palić - oparła bez namysłu. - To dotyczy także broni palnej. Może lepiej zjedź windą na dół i sprowadź pomoc.

- Zasada pierwsza - mówił, jakby nie usłyszał jej propozycji. - Masz robić dokładnie to, co ci każę.

- Nie powiedziałam, że się na to zgadzam.

Jack jęknął, ale nie puścił Carly. Teraz już był pewien, że nie uda mu się przeżyć z tą kobietą całych czterech tygodni. Miała najpiękniejsze oczy na świecie, a usta takie, że można je było całować bez końca i stanowiła poważne zagrożenie dla jego zdrowia psychicznego. A przecież nie upłynęły nawet dwie godziny, odkąd się poznali.

Postanowił jeszcze raz spróbować. Jeśli zdoła wejść do jej mieszkania i aresztować intruza, jego problemy skończą się natychmiast. Gdyby złapał autora anonimu, prokurator okręgowy mógłby zrezygnować z chronienia tego wyjątkowego świadka.

- Chcę cię tylko bronić - tłumaczył Carly jak dziecku.  
- Na tym polega moja praca.

Dziewczyna otworzyła usta, żeby zaprotestować. Jack przydusił ją do ściany.

- Podziwiam twoją... - zająknął się. Chciał powiedzieć „głupotę”, lecz przyszło mu do głowy, że w ten sposób nie zdoła z tą osobką wygrać. - Podziwiam twoją odwagę, ale nie mogę pozwolić na to, żebyś się narażała. Masz do wyboru dwie możliwości. Albo będziemy tu stać, albo ja wejdę do mieszkania i sprawdzę, co się tam dzieje.

- Zgoda - mruknęła. - Zostanę tutaj.

Odetchnął z ulgą. Jeszcze jeden protest, a byłby ją arestował za utmianie śledztwa. Zresztą obojgu wyszłoby na dobre, gdyby Carly spędziła w więzieniu te cztery tygodnie dzielące ją od rozprawy.

Ledwie znów wyjął pistolet, gdy drzwi od mieszkania Carly nagle się otworzyły.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Nie strzelaj! - Krzyk Carly niósł się echem po korytarzu.

W progu stanęła kobieta z zieloną maseczką na pulchnych policzkach oraz zawiniętymi na wałki platynowymi włosami. Na widok Jacka wrzasnęła przeraźliwie, wbiegła z powrotem do mieszkania i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Carly natychmiast ją poznała. Zresztą od początku wiedziała, że w jej domu nie buszuje żaden przestępca.

A ten cały Jack zaraz wyciąga pistolet, jakby Bóg wie co się działo, pomyślała. Chociaż, z drugiej strony, chciałyby wiedzieć, skąd się tu nagle wzięła Alma.

Alma Jones była szkolną przyjaciółką Carly. Rok temu wyszła za mąż i nic nie wskazywało na to, że nagle pojawi się bez uprzedzenia w mieszkaniu Carly. I to pod nieobecność właścicielki lokalu.

- Almo, natychmiast otwórz drzwi! - zawołała Carly.

Jack opuścił pistolet i spojrzał na Carly. Miał taką minę, jakby chciał ją zamordować.

- To twoja koleżanka? - zapytał.

- Przyjaciółka - poprawiła go Carly, waląc pięściami w drzwi własnego mieszkania. - Z Willow Grove. Almo! - wrzasnęła. - Otwieraj!

Jack bez słowa przekręcił klucz, który wciąż tkwił w zamku. Potem wyjął go i wsunął do kieszeni. Do swojej kieszeni.

- Proszę - powiedział, z kurtuazją przepuszczając Carly przed sobą.

Stawał się coraz bardziej irytujący, lecz Carly nie miała teraz do głowy do tego, by go pouczyć.

- Miłego masz narzeczonego! - wrzasnęła Alma, zrywając z włosów pomarańczowe wałki. Rozpościerając ramiona, odwróciła się do Jacka. - No proszę, zastrzel mnie. Nie mam broni. Jestem tylko bezradną kobietą.

Zamknęła oczy i odrzuciła głowę do tyłu. Zaschnięta maseczka z awokado popękała na szyi.

Alma miała talent. Ciągłe zdobywała jakieś nagrody w konkursach teatralnych. Kiedyś nawet zagrała główną rolę w amatorskim przedstawieniu „Tramwaju zwanego pożądaniem”. Do dziś uwielbiała dawać przedstawienia przed publicznością.

- Cześć. - Jack wcale się nie przejął jej dramatyczną rolą. Objął Carly ramieniem. - Przyjechałem z Detroit, by odwiedzić dawno nie widzianą kuzynkę. Za kilka tygodni lecę do Anchorage. A ty pewnie jesteś Alma.

Serce Carly waliło jak oszalałe. Pozwoliła się przytulić, choć przecież wcale tego nie chciała. Jak szmaciana lalka.

- Kłamiesz. - Alma otworzyła oczy. - Znam wszystkich jej kuzynów. Jakie to obrzydliwe - skrzywiła się - i jakie typowe. Żonaty? - zwróciła się do Carly.

- Szczerze wątpię. - Carly odsunęła się od Jacka i usiadła na kanapie. Musiała się uspokoić i zastanowić, co zrobić z tym facetem.

Jest przystojny, to prawda, ale bardzo źle wychowany, pomyślała. Nawet nie przeprosił za to, że celował z pistoletu w jej przyjaciółkę.

Jack ani myślał przeproszać. Najpierw zamknął drzwi.

potem rozejrzał się po mieszkaniu. Widać było, że wnętrzu mu się nie podoba.

Alma przysiadła obok Carly i przytuliła się do niej.

- Boję się go - szepnęła.

- Skąd ty się tutaj wzięłaś? - zapytała Carly. Ona jedna nigdy się nie przejmowała teatralnymi gęsiami przyjaciółki.

- I co tu się dzieje?

- Ty mnie pytasz, co się dzieje? - zdumiała się Alma.

- Ten twój Rambo o mało mnie nie zastrzelił. Na pewno jest żonaty. Takiego faceta szukałaś? Gdyby twoja mama się o tym dowiedziała...

- Nie rozmawiamy o mnie - przerwała jej Carly. - Natychmiast mi powiedz, skąd się wzięłaś w Boise. Tydzień temu rozmawialiśmy przez telefon i nawet słowem nie wspomniałaś, że masz zamiar mnie odwiedzić.

- Chciałam ci zrobić niespodziankę. - Alma wzruszyła krągłymi ramionami.

- Udało ci się to nadzwyczajnie. - Jack usadowił się w mocno używanym fotelu. Wysłużone sprężyny jęknęły pod jego ciężarem. - Ciekaw jestem, w jaki sposób dostałaś się do mieszkania.

- Dozorca mnie wpuścił. Zaraz po tym, jak wyciągnął mnie z windy. Prawie pół godziny przesiedziałam w tej pułapce.

- Bez sprzeciwu wpuścił cię do mieszkania?

- Prawie. Najpierw go postraszyłam, że zaskarżę administrację do sądu. Najwyraźniej nie wydałam mu się niebezpieczna. - Skrzywiła się. Maleńkie kawałeczki papki z awokado posypały się na podłogę. - Nawet mnie nie zrewidował.

- Mów, co się stało - zażądała Carly. Wcale nie podobały jej się platynowe włosy Almy. Wolała ich naturalny, kaszta-

nowy kolor. - Wracam do domu i zastaję tam swoją przyjaciółkę. Zgorzkniałą, zamienioną w blondynkę. Nie krępuj się, wywal to z siebie.

- Już wywaliłam - przyznała Alma - chociaż nie z siebie, tylko z lodówki. To pomarańczowe coś jest teraz w koszu na śmieci. Półmisek też. Przepraszam. Naprawdę nie chciałam.

- Mój mus z dyni - jęknęła Carly.

- Był pyszny. Trochę wpadło do sałatki, więc mogłam spróbować.

- A niech to! - westchnęła Carly. - Miałam zamiar przekonać właściciela, żeby mi pozwolił nie płacić czynszu w tym miesiącu albo chociaż pozwolił zapłacić później. To miała być łapówka.

- Dotykałaś jej piersi? - zapytał Jack.

- Zboczeniec! - mruknęła Alma. Zdjęła ostatni wałek z włosów i rzuciła go na stolik ze szklanym blatem. Platynowe loki zwisały z jej głowy jak popękane sprężyny materaca.

- Co to za facet? - szepnęła do ucha Carly. - Jest przystojny, ale nie w twoim typie. Uważam, że powinnaś z nim zerwać. Zasługujesz na kogoś lepszego.

Jack zdjął kurtkę, którą położył na swojej torbie podróżnej. Odchylił głowę na oparcie fotela i przymknął oczy. Pod jego lewym ramieniem lśniła srebrzysta lufa pistoletu.

- Naprawdę o tym myślałam - powiedziała Carly.

- Posłuchaj, Carly. Wiem, że długo byłaś sama i że są kobiety, które lubią brutalni, ale on nosi broń. Na pewno nie ma za grosz pewności siebie. Profesor Winnifield zawsze podkreślał wagę...

- Powiedziałaś: Winnifield? - zainteresował się Jack. - Profesor Chester Winnifield?

- Owszem. Profesor Chester Winnifield. Wiem, że okazał

się maniakalnym mordercą, ale to on napisał „Po czym poznać miłość”. - Usta jej zadrżały. - Na jego seminarium poznałam swojego meza. - Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem. - T...to b...była miłość od pierwszego wejrzenia. - Małe strumyczki zielonych łez ciekły między jej palcami.

- Och, Almo! - Carly próbowała zatrzymać zielony potok. - A więc chodzi o Stanleya. Macie jakieś problemy?

- Już nie - chlipnęła Alma. - Odeszłam od niego.

- Kiedy?

- Dwa dni temu. Nie wiedziałam, co zrobić ani dokąd pójść, a w naszej gazecie ostatnio ciągle o tobie piszą. Wiesz, w związku z tym morderstwem... Zamieścili duży artykuł o tobie, o tym, jak ci się żyje w Boise. Że masz dobrze prosperującą firmę i w ogóle... - Alma w końcu sama zajęła się zbieraniem z twarzy zielonej maseczki. - A ja tymczasem marnuję się w Willow Grove.

- Wcale się nie marnujesz. - Carly podała jej pudełko z chusteczkami. - Jesteś zdenerwowana. Uspokoisz się, pozbierasz myśli. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Alma przestała płakać i popatrzyła na Carly z nadzieją.

- Czy mogłabym u ciebie zamieszkać? Tylko przez parę dni.

- Oczywiście - odparła bez wahania Carly - Możesz tu mieszkać tak długo, jak zechcesz.

Alma, pociągając nosem, rozejrzała się po mieszkaniu.

- Wygląda trochę inaczej niż w opowiadaniach twojej mamy. Myślałam, że mieszkasz w eleganckim apartamencie.

- Mama bardzo się o mnie martwi i dlatego czasami w listach trochę przesadzam.

Jack tymczasem obserwował Almę, jakby to ona była głównym podejrzanym w sprawie.



- Nie powiedziałaś, dlaczego odeszłaś od męża - zaczął swoje śledztwo.
- Po tym, co zrobił profesor Winnifield... - Alma westchnęła dramatycznie - doszłam do wniosku, że moje małżeństwo opierało się na fałszywych podstawach.
- A więc to sprawa profesora sprowadziła cię do Boise?
- wypytywał Jack.
- Niezupełnie. - Alma znów pociągnęła nosem. - Odeszłam od Stanleya, bo zorientowałam się, że uprawia seks przez telefon. Znalazłam numer agencji na rachunku telefonicznym. Stanley mi powiedział, że dzwonił w sprawie koncesji na cukiernię. Przydałoby się nam cukiernia w Willow Grove. Jak myślisz, Carly?
- Wiele rzeczy przydałoby się w Willow Grove - mruknęła Carly.
- Uwierzyłam mu - ciągnęła Alma. - Myślałam, że jak będziemy mieli własną firmę, to wreszcie coś się zmieni w naszym małżeństwie, w naszym życiu... - Wzięła jeszcze jedną chusteczkę. - Tak się niecierpliwiłam, że któregoś dnia sama zadzwoniłam pod ten numer. No i wtedy się dowiedziałam...
- Nie miało to nic wspólnego z cukiernią. - Jack chciał być pewien, że dobrze zrozumiał.
- Nie miało. - Alma wytarła nos. - Dlatego rzuciłam i Stanleya, i Willow Grove.
- A ja myślałam, że jesteście szczęśliwym małżeństwem - westchnęła Carly.
- Ja też myślałam, że będę szczęśliwa ze Stanleyem. Jest taki czarujący i przystojny. Według profesora Winnifielda pasujemy do siebie jak ulał.
- Bardzo lubisz profesora, co? - Jack pochylił się do przodu, jakby chciał lepiej widzieć nieszczęsną Alnę.

- Nie będę o tym rozmawiać - oświadczyła Alma.
- Dlaczego? - zdumiał się Jack. - Czyżbyś chciała coś przed nami ukryć?
- Odczep się od niej - warknęła Carly.
- Nie mam nic do ukrycia. - Alma otarła twarz, wcierając resztki awokado w świeżo umyte włosy.
- To dobrze, bo i ja chciałabym cię o coś zapytać.
- O włosy? - Alma od razu zgadła.
- Coś ty z nimi zrobiła? - Carly bardzo się starała, żeby nie obrazić przyjaciółki.
- Ufarbowałam je, bo chciałam zacząć wszystko od nowa. Mam zamiar schudnąć, znaleźć sobie wspaniałą pracę...
- I stać się nowym człowiekiem - dokończył za nią Jack.
- Czy nie wydaje ci się czasami, że składasz się z dwóch różnych osób? A może czasami słyszysz głosy?
- Tylko jeden, ale za to bardzo głośny. - Alma popatrzyła na niego groźnie. - Ten głos mi mówi, że wszyscy faceci to przygłupy.
- Jack nie robi tego złośliwie - wstawiła się za nim Carly.
- Na tym polega jego praca.
- A co to za praca, jeśli wolno spytać?
- Jest moim ochroniarzem.
- Po co ci ochroniarz? - Alma popatrzyła na Carly, potem na Jacka i znowu na Carly.
- Tylko do rozprawy - tłumaczyła się Carly. - Prokurator okręgowy twierdzi, że to konieczne.
- Czy to znaczy, że on tu zamieszka? Razem z nami?
- Z Carly - uściślił Jack. - To ją mam chronić, a nie ciebie.
- Chwała Bogu. Nic wiem tylko, kto ją obroni przed tobą.
- To nie potrwa długo - uspokoiła przyjaciółkę Carly.
- Najwyżej cztery tygodnie.

- Chyba że Winnifield znów uzyska odroczenie. - Jack wcale nie był optymistą. - Ale nie martw się, damy sobie radę. Oczywiście pod warunkiem, że zastosujesz się do moich zasad.

Carly ani myślała stosować się do żadnych zasad. Nie miała zamiaru stać się więźniem we własnym domu.

- Nie wygłupiaj się - powiedziała Carly. - To na pewno nie Alma.

Jack spojrzał na zamknięte drzwi łazienki. Alma niemiłosiernie fałszowała pod prysznicem.

- Znam ją od zawsze - tłumaczyła Carly, zbierając z podłogi brudne chusteczki. - Ona nie jest ani szantażystką, ani tym bardziej morderczynią.

- Wierzę ci. - Podszedł do niej całkiem blisko. - Ale nie może tutaj mieszkać.

- Dlaczego?

- Bo, po pierwsze nie wiem, czy ona jest całkiem... normalna.

- Kpisz, czy o drogę pytasz? - obruszyła się Carly. - Alma jest tak samo normalna jak ja.

Jack tylko wzruszył ramionami. Opinia Carly potwierdzała jego teorię, ale nie miał ochoty jej tego mówić.

- Muszę ci zapewnić bezpieczeństwo, a tutejszy gospodarz bez twojej wiedzy wpuszcza do twojego mieszkania obcych ludzi. Do tego jeszcze ten zamek u drzwi, który można otworzyć agrafką. I bez Almy będę miał dość roboty.

- Nie słyszałeś, co ona przeżyła? Jej małżeństwo się rozpada! Nie mogę jej zostawić samej w takiej sytuacji.

- Nie przesadzaj. Rozwód to dzisiaj normalna sprawa. Wszyscy się rozwodzą. Zresztą to lepsze niż pozostawanie

w związku, który może się okazać niebezpieczny dla zdrowia, a nawet życia.

- Sophie Devine rozstała się z profesorem Winnifieldem i co z tego wynikło? Nafaszerował ją ołowiem, co, jak wiesz, również jest niebezpieczne dla zdrowia, a nawet życia.

- W ogóle miłość to niebezpieczne uczucie - zgodził się Jack. - Osiwiłabyś, gdybym ci opowiedział, do czego prowadzi. Ile ja się na to napatrzyłem... Rodzinne awantury, samobójstwa...

Stanąła mu przed oczami scena sprzed dwudziestu lat. Matka pada pod koła autobusu, pisk opon, krzyk przerażonych ludzi. Nie zdążył jej uratować! Jack zamrugał powiekami. Wspomnienie zniknęło.

Carly przyglądała mu się w zamyśleniu.

- Wygląda na to, że nie ma już na świecie ludzi, którzy po ślubie żyją długo i szczęśliwie - powiedziała.

Zaskoczyła go tym brakiem oporu. Pierwszym, odkąd się poznali. Patrzył, jak zbiera z kanapy kawałeczki awokado. Poruszała się z gracją. Pewnie nawet nie wiedziała, że jest taka urocza. Jack pomyślał, że obserwowanie jej nie sprawi mu najmniejszej przykrości. Nawet przez cztery tygodnie. Gorzej będzie, kiedy przestanie na nią patrzeć.

Spróbował. Rozejrzał się po mieszkaniu. Było czyściutkie i zadbane. Całkowite przeciwieństwo tego, co działo się na klatce schodowej.

Na wypolerowanej do połysku drewnianej podłodze nie było dywanu, na parapetach i w każdym wolnym kącie stały doniczki z roślinami, maskującymi pęknięcia w ścianach. Kanapa i fotel były stare, ale obite nowym niebieskim adamaszkiem.

Jack mimowolnie porównał jej mieszkanie z tym, w którym się wychował. Jego matka także nie mogła sobie pozwo-

lić na lokum w eleganckiej dzielnicy, lecz czas, ciężka praca i koszmarny rozwód zabiły w niej wszelkie pragnienie piękna. Meble były przypadkowe i zupełnie do siebie nie pasowały, sprane zasłony zawsze wisały krzywo. W rodzinnym domu z każdego kąta wiało rozpaczą i przygnębieniem. U Carly zaś było jasno, optymistycznie...

Znów popatrzył na swoją podopieczną. Mróz przeszedł mu po kościach, gdy pomyślał, że ta śliczna, pełna radości życia kobieta może nie mieć przed sobą żadnej przyszłości.

Nie dopuszczę do tego! pomyślał. Nie pozwolę, żeby coś jej się stało! Niech sobie żyje długo i szczęśliwie. I niech doprowadza do szału jakiegoś innego faceta.

- Nie każę Almie się wynosić - oświadczyła stanowczo Carly. - To moja przyjaciółka i tak się składa, że właśnie w tej chwili mnie potrzebuje.

Wrzuciła chusteczki i resztki awokado do kosza na śmieci. po czym pomaszerowała do kuchni.

Jack poszedł za nią. Był głodny jak wilk, a nie potrafił walczyć z pustym żołądkiem. Ani z Carly, ani z grożącym jej niebezpieczeństwem.

- Umieram z głodu - wyznał. To była święta prawda, a przy okazji mógł zmienić temat. - Może byśmy pomyśleli o kolacji?

- Umiesz gotować? - zapytała Carly.

- Jasne. - Spojrzał wymownie na swoje zapasy. Dwadzieścia paczek makaronu z serem, pudełko zup w proszku i dziesięć paczek hot dogów.

- Obrzydliwość - skrzywiła się Carly.

- Nie żadna obrzydliwość, tylko moja kolacja. - Wziął ze stołu paczkę makaronu i w tej właśnie chwili zadzwonił telefon.

Carly chciała podnieść, ale jej nie pozwolił. Na wszelki wypadek zagroził jej drogę do aparatu.

- Niech ten ktoś nagra się na sekretarkę - polecił.

- Bzdura. - Carly mimo wszystko próbowała podnieść słuchawkę.

- Zaczekaj! - Do kuchni wpadła Alma. Głowę miała owiniętą różowym ręcznikiem. - Nie odbieraj. To może być Stanley.

- Czy on wie, że tu jesteś? - zapytał Jack.

- W pewnym sensie. - Alma się zaczerwieniła. - Zostałam mu list. Ty nie znasz Stanleya. Zamartwiłby się na śmierć, gdybym zniknęła bez słowa. Ciągłe mi powtarza, że na świecie aż się roi od wszelkiego rodzaju zbrodni. Gdybym mu nie powiedziała, że jadę do Carly, postawiłby na nogi całą policję stanową.

- Nic dziwnego, że od niego odeszłaś - stwierdziła Carly.

- Taka się czułam kochana - rozczuliła się Alma. - Ale nie chcę z nim rozmawiać. Jeszcze nie teraz.

- Nikt nie odbiera telefonu - polecił Jack. - Wszystkie rozmowy będziemy nagrywać na automatycznej sekretarce.

- A jeśli to jakiś klient?! - zawołała Carly. - To moje mieszkanie, mój telefon i moja firma...

- Delicje Carly życzą smacznego - odezwał się nagrany na magnetofonie głos Carly. - Gotujemy z myślą o tobie. Proszę zostawić nazwisko i numer telefonu. Natychmiast się skontaktuję.

Jack i Alma jęknęli jak na komendę.

- Cicho! - zgromiła ich Carly.

- Cześć, skarbie - odezwał się jakiś tenor. - Mówi Wielki Bob z rozgłośni BETA. Mamy już tych klientów, o których tak bardzo się starasz - roześmiał się. - Trójka finalistów naszego konkursu ..Wydzwoń sobie obiad". Dzięki tobie mie-

liśmy duże powodzenie. A może byś do mnie zadzwoniła, skarbie... - Głos disc jockeya zmienił się w uwodzicielski szept. - Moglibyśmy zgotować sobie gorącą noc.

- No, nieźle - skomentowała Alma, gdy maszyna się wyłączyła.

Alma wróciła do łazienki, a Jack policzył do dziesięciu.

- A więc, skarbie - zaczął, z trudem panując nad sobą - co to za konkurs?

- Moja nowa strategia marketingowa. Muszę zdobyć sobie stałych klientów.

- Darmowy catering?

- Tylko dla trójki szczęśliwców. Oczywiście wartość zamówienia jest ograniczona. Nie mogę sobie pozwolić na wydawanie darmowych bankietów.

- Chyba nie mówisz, poważnie.

- Jak najpoważniej. Ograniczyłam też czas trwania promocji. Oferta jest ważna tylko przez miesiąc.

- Powiedziałaś prokuratorowi, że nic masz żadnych zamówień.

- Nic takiego nie mówiłam.

- W każdym razie dałaś to do zrozumienia.

- Teraz nie ma to znaczenia. Chyba powinniśmy porozmawiać.

- Zgoda. - Jack odłożył pudełko z makaronem. Postanowił zmusić Carly, żeby zaczęła go poważnie traktować. - Masz może jakiś słownik?

- Po co ci słownik? - zdziwiła się,

- Chciałbym, żebyś na początek przeczytała sobie definicję słowa „niebezpieczny”, bo wydaje mi się, że nie wiesz, co ono znaczy. Potem zadzwonisz do Wielkiego Boba i powiesz, że nie będzie żadnych wydzwonionych obiadów.

- Nie mogę tego zrobić!

- Wobec tego przesuniesz realizację wygranych. Po procesie możesz sobie robić, co zechcesz.

- Wykluczone. W tym interesie powodzenie zależy od dobrej opinii. Nie mogę bez ważnej przyczyny wycofać się z promocji.

Jack już sam nie wiedział, czy ma się śmiać, czy może raczej potrząsnąć Carly z całej siły. Wybrał trzecie rozwiązanie.

- Istnieje kilka ważnych przyczyn - powiedział spokojnie, choć tylko on wiedział, ile go ten spokój kosztował.

- Jedna z nich to ta, że jakiś szaleniec chce cię zabić.

- To tylko przypuszczenie.

- Jeśli się stanie faktem, będziesz leżała w kostnicy! Chcesz zaryzykować?

- Nie chcę, ale bankructwa też nie zaryzykuję. Nie mogę siedzieć beczynnienie i patrzeć, jak moja firma tonie.

Oczy Carly lśniły, policzki były zarumienione i Jack nie mógł oderwać od niej oczu.

- Jest mało prawdopodobne, żeby któryś ze zwycięzców konkursu okazał się tym szaleńcem, który chce mnie zabić - przekonywała go. - Już ty lepiej zostań w domu z Alną i daj mi spokojnie pracować. Nie pozwolę ci rewidować biesiadników podczas pierwszego dania.

Jack nie rozumiał, jak Carly może mówić takie bzdury. Odetchnął głęboko.

- Dopóki nie dowiemy się, kogo szukamy, każdy jest podejrzany - powiedział. - Przygotuj się na to, że przez najbliższe cztery tygodnie będę twoim cieniem. Nigdzie się beze mnie nie ruszysz.

- Nic z tego. - Pokręciła głową.

- Spróbuj mi przeszkodzić. - Stał przed nią wielki i potężny jak skała.



Nigdy przedtem nie straszył kobiet, ale tym razem nie umiał inaczej poradzić sobie z tym uparciuchem, który nie przyjmował do wiadomości logicznej argumentacji.

Carly popatrzyła na Jacka, zamrugła powiekami, po czym odwróciła się do niego plecami.

- Ojej! -jęknęła.

Jack wpadł w popłoch. Chciał ją przestraszyć, pragnął, żeby zaczęła go słuchać, a ona zaraz, się rozpląkała.

Zawsze głupio się czuł w obecności płaczącej kobiety, lecz płacz Carly całkiem go oszołomił. Była taka odważna, samodzielna... Nigdy by nie przypuszczał, że płaczem będzie sobie wymuszała posłuch.

Wyciągnął rękę i ostrożnie pogłaskał ją po głowie.

- Nie dotykaj mnie - chlipnęła.

Natychmiast cofnął rękę. Gotów był zrobić wszystko, żeby tylko przestała płakać.

- Nie będę ci przeszkadzał - obiecał. - Możesz wydać te trzy obiady dla zwycięzców konkursu. Oczywiście iście przez cały czas będę z tobą, ale postaram się nie przeszkadzać ci w pracy.

Od razu przestała płakać. Otarła małym palcem łzę, która spływała z jej prawego oka.

- Czy mógłbyś udawać mojego pomocnika? - zapytała cichutko. - Wtedy nikt się nie zorientuje, dlaczego naprawdę kręcisz się koło mnie.

- Zrobię, co tylko zechcesz - zgodził się bez namysłu.

Carly wyjęła soczewki kontaktowe. Najpierw z prawego oka. potem z lewego. Umieściła je w pojemniku z solą fizjologiczną.

- Strasznie mnie drażnią te soczewki - powiedziała swoim normalnie już brzmiącym głosem.

Odwróciła się twarzą do Jacka. Wcale nie była zapłakana.

## ROZDZIAŁ TRZECI

W kuchni klubowej było gorąco jak w piekle, a muzyka tak głośna, że dźwięczały pod jej wpływem ułożone w stosik talerze.

Jack wziął okrągłą tacę i podniósł ją do góry, jak to robią zawodowi kelnerzy.

- Rozluźnij się - poradziła Carly, widząc, że taca drży niebezpiecznie na jego dłoni.

Nadziejana pieczarka zsunęła się na ramię Jacka, a potem na podłogę.

- Jeszcze jeden kamikadze zginął za zwycięstwo grzybów w walce o dominację nad światem - zażartował Jack.

Carly wytarła czystą ściereczką plamę, którą zostawiła po sobie pieczarka-samobójczyni. Spodziewała się, że nie zrobi z Jacka dobrego kelnera, ale wolałaby, żeby choć trochę poważniej traktował tę pracę.

- Spróbuj jeszcze raz - poprosiła. Obawiała się, że lada chwila może stracić cierpliwość.

- Naprawdę nie można postawić tej tacy na stole? - mruknął Jack, gdy kolejna pieczarka odbiła się od jego głowy.

- Zabiliśmy już z pół tuzina grzybów.

- Ty je zabiłeś - uściśliła bezlitośnie Carly. - Ja tylko prowadziłam kondukt pogrzebowy. Aż do kosza na śmieci. A co do twego pytania, to moja odpowiedź brzmi „nie”.

- Stanęła na palcach i zdjęła z jego włosów krążek cebuli.

- Samoobsługa wyszła z mody, a ja muszę dbać o reputację firmy.

Jack postawił tacę na stole. Zanim tego dokonał, następna pieczarka popełniła samobójstwo. Złapał ją w locie i wsadził obie do ust.

- Za dużo pieprzu - stwierdził.

- Miałabym się przejmować upodobaniem smakowym faceta, który opycha się skwarkami z boczku? - prychnęła Carly.

- Miałbym się przejmować upodobaniem smakowym kobiety, która nigdy w życiu nie próbowała skwarek? Nie masz w sobie ani krzty z ducha dawnych odkrywców.

- Przestań! - Carly zatrzęsała się z obrzydzenia. - Dość się nacierpiałam, patrząc, jak się zajadasz tym tłuszczem.

- Widziałem. - Jack uśmiechnął się złośliwie. - Nie mogłaś oczu oderwać ode mnie i moich skwarek. Wiem, że chciałaś ich spróbować. Przyznaj się.

- Nigdy w życiu! Czekałam w pogotowiu na wypadek, gdybyś dostał zawału. Prawie było słyhać, jak zatykają ci się naczynia krwionośne. Nie wiesz, że cholesterol to zabójca?

- Tak samo jak pomyleni wielbiciele, którzy piszą listy z pogroźkami, ale nie zauważyłem, żebyś się tym zbyt przejmowała. Nie masz się czym martwić? Nie zajmuj się moimi skwarkami!

- Żebyś wiedział, że mam się czym martwić. - Carly spojrzała na zegarek. - Zaczynamy podawać. Pamiętasz wszystko, co ci powiedziałam?

- Gdy mi nałożyłaś muszkę, zaraz o wszystkim zapomniałem. Ona chyba tamuje dopływ krwi do mózgu.

- Nie narzekaj. - Carly podała mu tacę z przekąskami, ale nie pozwoliła balansować nią nad głową. - Kelnerowanie to nie

fizyka jądrowa. Trzeba tylko pamiętać, żeby być grzecznym i że klient ma zawsze rację.

- Nawet jeśli ten klient chce zabić kucharkę?

- Już to przedyskutowaliśmy. To jest spotkanie koleżanek ze studiów. Naprawdę nic mi z ich strony nie grozi.

- Gdybym dostawał dolara za każdym razem, kiedy mówisz, że nic ci nie grozi, byłbym bogatym człowiekiem - skrzywił się Jack. - A, mówiąc poważnie, nie obchodzi mnie, co ty o tym myślisz. Dostałem tę pracę, bo prokurator okręgowy uważa, że jesteś w niebezpieczeństwie. A skoro ją dostałem, to będę robił, co do mnie należy. Dwanaście lat jestem na służbie i nigdy nie straciłem żadnego świadka. Nie mam zamiaru tego zmieniać. Jasne?

- Dlatego przeszukałeś wszystkie pomieszczenia?

- Zaczynij się do tego przyzwyczajać.

- Znalazłeś może jakiegoś szaleńca ukrytego pod stołem?

A może chociaż karabin maszynowy udający palmę? - Śmiać jej się chciało z niezadowolonej miny Jacka, ale się powstrzymała. Z trudem.

Jack nic nie powiedział, tylko westchnął ciężko i wyszedł na salę. Do kuchni wdarł się radosny gwar kobiecych głosów.

Brzączyk piekarnika kazał Carly zająć się ciasteczkami serowymi. Smakowity zapach rozszedł się po kuchni, gdy wyjęła z pieca chrupiące złote kuleczki.

Doskonałe, pomyślała. Właśnie takie miały być. To prawdziwe szczęście, że pierwszym zwycięzcą radiowego konkursu została Sindra Collins.

Sindra była córką jednego z bardziej wpływowych obywateli Boise. Przypadł jej w udziale zaszczyt zorganizowania wieczoru panieńskiego dla jednej z koleżanek. Była drobiazgową aż do przesady. Co najmniej pięć razy zmieniała menu, a raczej jego drobne szczegóły. Carly bała się nawet, że nie

zdąży wszystkiego przygotować. Gdyby nie Jack, na pewno by nie zdążyła. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu, tym razem okazał się bardzo pomocny.

Kiedy odłożył pistolet, staje się prawie do wytrzymania, pomyślała. Gdyby nie te jego przekłete zasady...

Dobrze chociaż, że miło się z nim mieszkało. Carly nawet polubiła męski nieład, jaki wprowadził do jej panieńskiego niicszkania: zawieruszony gdzieś pilot od telewizora, mokre ręczniki w koszu na brudną bieliznę, krótkie czarne włoski w zlewie, a nawet odgłosy meczu piłkarskiego transmitowanego przez telewizję w sobotnie popołudnie

Z każdym minionym dniem Jack coraz mniej ją prześladował. Widocznie brak kolejnych listów z pogrózkami czy innych oznak zagrożenia tak pozytywnie na niego działał.

Zarumieniła się, gdy przypomniała sobie anonim, jaki dostała w porannej poczcie. Nie pokazała go Jackowi, tylko schowała pod materacem.

Krótki wierszyk był tak samo bezsensowny jak poprzedni i tak samo jak tamten nie zawiera! żadnej informacji. Napisano go na takim samym lawendowym papierze listowym, tylko zamiast karykatury umieszczono prymitywne wyobrażenie czaszki ze skrzyżowanymi pod nią piszczelami.

Przygotowanie przyjęcia dla Sindry było dla Carly ważniejsze niż takie głupstwa. Bardzo jej zależało na zrobieniu jak najlepszego wrażenia zarówno na tej wpływowej młodej damie, jak i na jej przyjaciółkach z wyższych sfer. Gdyby Jack zobaczył ten idiotyczny list. mógłby zabronić jej organizowania przyjęcia. Dlatego i tylko dlatego postanowiła, że jej anioł stróż nie dowie się o anonimie.

Jack wpadł do kuchni jak bomba. Carly usłyszała dobiegające z sali gwizdy i nieprzyzwoite uwagi. Najwyraźniej

panie uznały go za jeszcze jedną atrakcję serwowaną przez Delicje Carly.

- Chcą jeszcze margarity. - Jack postawił w zlewie pusty dzbanek. - I tak już mają dosyć, ale...

- Ale jesteśmy tu po to, żeby one były zadowolone. - Carly wręczyła mu oszroniony dzbanek.

- Tym razem ty im ją podasz. - Jack postawił dzbanek na stole. - W kuchni będę bezpieczny.

- Chyba żartujesz. - Carly się roześmiała. - Zdaje się, że to ty miałeś mnie chronić.

- To było przedtem, zanim wysłałaś mnie samego na salę. Te baby mają ochotę nic tylko na dobre jedzenie. Poza tym księżniczka Sindra żąda widzenia się z tobą. Natychmiast.

- Dlaczego? Czy coś się stało? - przestraszyła się Carly.

- Owszem - westchnął Jack. - Mieliśmy tam pewien... incydent.

- Tylko nie to! Jack, coś ty narobił?

- Tylko to, o co mnie prosiłaś. Podałem nadziewane pieczarki. Trzy spadły na podłogę, dwie na obrus, a jedna na dekolt blondynki z krzywymi zębami. - Wziął szczypce do nakładania potraw i kłapnął nimi trzy razy. - To urządzenie bardzo mi się przydało.

- Powiedz, że to tylko żart - błagała zrozpaczona Carly.

- Panie uznały, że to zabawne.

- Jak mogłeś mi coś takiego zrobić? - biadoliła Carly.

- Prokurator okręgowa zapewniała, że nie będziesz mi przeszkadzał. A ty przeszkadzasz i na dodatek mnie wkurzasz. Na przykład dziś rano. kiedy mnie obudziłeś o siódmej, żeby sprawdzić łóżko.

- Powiniennem cię być obudzić pół godziny wcześniej, jak tylko usłyszałem ten podejrzany hałas. Taki łomot, jakby przez twój pokój przebiegało stado słoni.

- Alma bardzo poważnie traktuje gimnastykę odchudzającą - skrzywiła się Carly. - Zresztą drogo za to zapłaciła.

- Wiem. - Jack się uśmiechnął. - Słyszałem, jak wrzeszczała pod prysznicem. Przypomnij mi, żebym podziękował pani Kolińskiej.

- Daj mi spokój z panią Kolińską. Teraz mam na głowie Sindrę. Bardzo jest na mnie zła?

- Trudno powiedzieć. Zawsze ma taki dziwny wyraz twarzy.

- Jaki znowu wyraz?

- Jakby znalazła odchody nie zarejestrowanego psa w swoim szykownym pantofelku.

- Cudownie! Albo nas zwolni, albo każe sobie podać twoją głowę na srebrnej tacy. - Carly była niepokieszona.

- Dobrze, będę udawać, że nic się nie stało. Podgrzej pieczeń, a ja spróbuję ułagodzić Sindrę. Mógłbyś też umyć tacę. - Spojrzała znacząco na jego głowę. - Może się okazać, że będzie potrzebna.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. - Jack wyprostował się jak struna.

- Dobrze by było, żebyś o tym nie zapominał. - Carly wrzescie się uśmiechnęła. - Mogę wypowiedzieć życzenie prędzej, niż się spodziewasz.

Gdy tylko Carly weszła do kuchni, Jack wiedział, że będzie miał kłopoty. Już przedtem widywał na jej twarzy ten obłudny uśmiech.

- Wszystko załatwiłam - oznajmiła. - Sindra wcale się nie obraziła za ten incydent z pieczarką. To dobra wiadomość.

- A jaka jest zła wiadomość? - zapytał Jack. Ten błysk w oku Carly nie wróżył niczego dobrego.

- Przyjęcie nie rozkręciło się tak dobrze, jak to sobie zaplanowała.

- Czy to znaczy, że możemy już iść? - zapytał z nadzieją.

- Niezupełnie. - Podeszła do niego całkiem blisko. - Chodzi o to, że one chcą jeszcze.

- Jeszcze? - Westchnął zrezygnowany i sięgnął po tacę, choć wcale nie miał ochoty wracać na salę. Bał się, że znów narozrabia. - Co im podać?

- Nic. One chcą ciebie.

Taca zadrżała i upadła na podłogę. Całe szczęście, że była pusta.

- Striptizer odwołał występ - tłumaczyła Carly - a panna młoda uważa, że jesteś całkiem do rzeczy...

- Nic z tego - przerwał jej Jack. - Kroilem cebulę, łuskałem orzechy. Pozwoliłem ci nawet wypróbować na sobie ten nowy sos. Czy nie uważasz, że zasłużyłem sobie na odrobinę szacunku?'

- Ja cię bardzo szanuję - zapewniła go Carly.

Podeszła do niego i rozpięła mu muszkę. Jack chwycił ją za rękę i przytrzymał.

- To jest molestowanie seksualne, droga pani. Czy mam zadzwonić do rzecznika praw obywatelskich?

- Nie pracujesz, dla mnie - odparowała Carly. - Twoim pracodawcą są władze stanu Idaho. Czy mam zadzwonić do pani prokurator i powiedzieć, że nie spełniasz moich oczekiwań?

- Dlaczego miałbym je spełniać, skoro oczekujesz ode mnie, żebym się rozebrał? Wyobraź sobie, że to ja bym ci zaproponował, abyś się rozebrała przed tłumem śliniących się facetów. Zrobiłabyś to?

- Wyobraź sobie, że to wspaniała przygoda. - Carly nie dała się zbić z pantałyku. - Wy czasem pracujecie w przebraniu.



- Owszem, ale nic nago. Zresztą gdyby było trzeba, pewnie bym się zdecydował. Ale ta inicjatywa jest całkowicie prywatna i nie ma nic wspólnego z moją pracą, toteż z wielką przykrością muszę odrzucić twoją propozycję. Moje szkolenie nie obejmowało nauki rozbierania się przed wyposzczonymi kobietami.

- A gdybyś nie musiał się całkiem rozbierać? - zapytała, wciąż nie zrażona.

- Ja niczego nie muszę. Z wyjątkiem zapewnienia ci ochrony do czasu rozprawy.

- Może zgodziłbyś się na kompromis? - Carly nie ustępowała.

Czy ona zapomniała, na ile kompromisów się zgodziłem, pomyślał. Pozwoliłem na pobyt Almy, zgodziłem się zastąpić kelnera, dałem sobie zawiązać tę kretyńską muszkę... Ale co za dużo, to niezdrowo.

W tej sprawie nie miał zamiaru ustąpić. Niestety, popełnił błąd: spojrzął w błękitne oczy Carly i przepadł z kretesem.

- Co znowu za kompromis? - wyjąkał.

Była tak blisko. Czuł zapach cynamonu i wanilii, jakim przesiąkły włosy Carly. Gdy jej palce musnęły szyję Jacka, spoczęły na kołnierzyku jego koszuli, zrobiło mu się gorąco.

- Niech sobie Sindra i jej koleżanki popatrzą na twoje piękne ciało - mruknęła, rozpinając mu koszulę. - Sindra uwielbia wysokich brunetów.

- A co ty o nich sądzisz? - zapytał cicho.

- Ja uważam, że klient ma zawsze rację - odparła, czerwieniąc się po cebulki włosów. - W szkole mnie uczono, że usługobiorca musi dostać tylko tyle, żeby miał ochotę na więcej. Dlatego zamiast striptizera damy im kelnera bez koszuli.

Poddał się bez słowa protestu. Nawet gdyby chciał, nic

umiałby powstrzymać Carly. Sęk w tym, że wcale nie chciał jej powstrzymać. Westchnął tylko. gdy. zdejmując mu koszulę. musnęła palcem jego plecy.

- Najpierw zanieś im margaritę - poleciła Carly. - Potem podamy babeczki serowe.

- Nie możesz mnie zwolnić - powiedział Jack.

- A ty mi nie możesz dyktować, co mam robić.

Carly usiadła naprzeciwko niego przy kuchennym stole. Mokre kosmyki kasztanowych włosów otaczały świeżo umytą twarz. Starła się myśleć tylko o tym, co ma temu mężczyźnie do powiedzenia, i pod żadnym pozorem nie patrzeć na jego mięśnie rysujące się pod bawełnianą koszulką. Nic spodziewała się. że przydzielono jej tak pięknie zbudowanego ochroniarza. A przecież widziała tylko połowę Jacka Brannigana. Akurat tyle, ile potrzeba, żeby mieć ochotę na więcej.

- Nie mogę - zgodził się Jack. - Chociaż ty mnie i tak nie słuchasz. Mówiłem ci, żebyś nie wzywała straży pożarnej. Gaśnica zdusiła ten ogieniek w parę chwil.

- Mogłam się tego spodziewać - westchnęła Carly. - Zamiast przeprosin słyszę: „a nie mówiłem?”.

- Ja miałbym cię przeproszać? - zdziwił się Jack. - Za co?

- Nie wiem, od czego zacząć. - Jego bezczelność zbiła Carly z pantałyku. Na szczęście na krótko. - Obraziłeś Sindrę Collins, przez co straciłam szansę na dalsze zamówienia od niej i od jej zamożnych koleżanek. To po pierwsze. Wywaliłeś michę sałatki na dywan w klubie, co oznacza, że nie dostanę ani centa z kaucji, którą wpłaciłam. To po drugie. Podpaliłeś kuchnię...

- Mówisz tak. jakbym spalił ją ze szczętem - obruszył się Jack. - Było trochę dymu, to fakt, ale...

- Doskonale wiem, jak było - przerwała mu Carly. - Alarm przeciwpożarowy wyl przez całą godzinę. Włączył się wewnętrzny system gaśniczy, dzięki czemu całe pomieszczenie i obecni w nim ludzie zostali dokładnie zmoczeni. Woda zalała wszystko, co zostało z przyjęcia. A ja miałam zamiar żywić się tym przez cały najbliższy tydzień.

- Jedzeniem się nie przejmuj. Jeśli nie masz pieniędzy, to mogę się z tobą podzielić swoimi zapasami.

- Przestań - jęknęła. - Niedobrze mi się robi, jak patrzę na to, co ty zajadasz.

- Nie chcesz, to nie dostaniesz. - Jack wzruszył ramionami. - Twoja strata.

- No właśnie. - Carly otuliła się grubym szlafrokiem, jakby jej było zimno. - Moja strata, moja firma... Przez te twoje wczorajsze wygłupy Sindra Collins może mi wytoczyć sprawę o odszkodowanie.

- Nie wiem, czego ty ode mnie chcesz? - Jack był spokojny, jakby zupełnie nic się nie stało. - Podawałem przekąski, nalewałem margaritę, nawet się rozebrałem.

- Chodzi mi o tę margaritę, którą wylałeś na Sindrę. - Carly westchnęła ciężko. - Calusięńki dzbanek dokładnie na czubek jej głowy.

- Zasłużyła sobie na to.

- Jestem innego zdania. Zresztą zdawało mi się, że kierujesz się w życiu pewnymi zasadami, a tymczasem zapomniałeś o najważniejszej zasadzie cateringu: klient ma zawsze rację.

- Złapała mnie za tyłek i chciała mi ściągnąć spodnie - zirytował się Jack. - Jedną z moich zasad głosi, że nikomu nie wolno mnie dotykać bez pozwolenia.

- Dzięki za ostrzeżenie.

Spojrzał na zaróżowione od gniewu policzki Carly i po-

myślał, że może trzeba będzie zrobić jakiś wyjątek od tej ostatniej reguły.

- Ledwo wysuszyłam Sindrę i trochę ją ułagodziłam, a ty musiałeś podpalić kuchnię - żaliła się Carly.

Miała taką minę, że wszelkie rozważania na temat wyjątku od reguły stały się całkiem zbędne.

- Posłuchaj - zaczął zirytowany nie tyle jej pretensjami, co wrażeniem, jakie na nim robiła. - Kazałaś mi zwiększyć gaz pod befsztykami. Tak czy nie?

- Owszem, ale nie kazałam dolewać koniaku.

- Były strasznie suche.

- Były takie jak trzeba, dopóki nie spaliłeś ich na węgiel.

- Ten ogień można było ugasić. - Jack się nie poddawał. Zapomniał, że przyrzekł sobie nie obwiniać Carly o to, co się stało. - Ale ty chciałaś zgasić ogień bawełnianą ścierką. W dodatku tą samą, którą wycierałaś Sindrę. Tą, która była przesiąknięta alkoholem z margarity.

- No, widzisz, że mam rację. - Carly dumnie uniosła głowę. - Gdybyś nie oblał Sindry, nic złego by się nie stało.

Po tym oświadczeniu w kuchni zapadła grobowa cisza. Nie wiadomo, jak długo by trwała, gdyby ktoś nie zadzwonił do drzwi.

- Umówiłaś się z kimś? - zapytał Jack.

- Nie. - Carly wstała i poszła do przedpokoju. - Chyba że mnie zadenuncjowałeś na policji jako podpalaczkę.

- Nie kuś mnie. - Jack poszedł za nią. - Lżej by mi się pracowało, gdybyś siedziała za kraikami.

Carly stanęła na palcach i spojrzała przez judasza.

- To Elliot - powiedziała.

- Ten wariat, który mieszka naprzeciwko?

- Mój przyjaciel, który mieszka naprzeciwko - poprawiła go Carly, przeczesując palcami mokre włosy.

Jack wyjął z szafy pistolet, wsunął go za pasek spodni. Włożył bluzę, żeby przykryć wystającą rękojęść.

- Możesz go wpuścić - powiedział, siadając na kanapie.

- Serdecznie dziękuję za pozwolenie - warknęła Carly, odsuwając zasuwkę nowego, patentowego zamka. - I tak bym go wpuściła. Nawet gdybyś mi na to nie pozwolił.

Otworzyła drzwi z takim impetem, że stojący za nimi człowiek odskoczył przerażony.

- Elliot! Co za miła niespodzianka - zawołała.

Pręgowany ogon jego czapki z szopa, takiej samej, jakie nosili pionierzy idący w głąb dziewiczego łądu, wciąż jeszcze trząsał się ze strachu, ale Elliot już się uśmiechał. Niepewnie, a jednak się uśmiechał. Czapka nasunęła mu się nisko na czoło, niemal dotykając okularów w grubej rogowej oprawie, przez które jego zielone oczy krótkowidza wyglądały, jakby były trzy razy większe.

- Nie przeszkadzam? - zapytał, oblizując wąskie wargi, gdy tymczasem jego lewe oko zaczęło drgać, powodowane nerwowym tikiem.

- Jasne, że nie - szczebiotała Carly. - Nigdy mi nie przeszkadzasz. Proszę, wejź.

Elliot patrzył, jak Carly wchodzi do pokoju. Po chwili jakby sobie przypomniał, że aby ruszyć się z miejsca, musi najpierw poruszyć nogą. Poczłapał za nią.

- Może za wcześnie przyszedłem - tłumaczył się, tuląc do piersi tekturkę z przypiętą do niej kartką papieru. Spłóviała flanelowa koszula sięgała mu prawie do kolan, mimo to nie zakrywała dziury w znoszonych spodniach. - Zobaczyłem, że u ciebie jest jasno i pomyślałem... - Zamilkł, spostrzegłszy Jacka. - Och, przepraszam... Nie jesteś samu

- Nie przejmuj się. - Carly posadziła Elliota na fotelu.

- Brannigan. - Jack wyciągnął rękę do gościa.

Elliot zacisnął na jego dłoni swoje małe palce. Rękę miał pulchną, wilgotną, nieprzyjemną w dotyku. Jack z trudem się powstrzymał, żeby nie wytrzeć swojej dłoni o spodnie, gdy tylko Elliot przestał jej dotykać.

- Ty teraz mieszkasz z Carly? - zagadnął Elliot. Zanim usiadł w fotelu, dokładnie wytarł rękę o koszulę. - Słyszałem, że ma lokatora.

- To nie on, tylko Alma u mnie mieszka - powiedziała Carly, siadając na oparciu fotela, który zajmował Elliot. - Szuka pracy, więc musi wychodzić wcześniej rano.

- Ja jestem tu tylko przejazdem - wtrącił się Jack. - Przyjechałem odwiedzić moją kuzynkę Carly, potem jadę dalej do Anchorage.

- Na Alaskę? - zapytał Elliot takim tonem, jakby nie wierzył ani jednemu słowu Jacka.

- No. - Jack skinął głową. - Mam tam swój zaprzęg. Najlepsze psy eskimoskie na całym świecie. Wygrywają wszystkie zawody.

- Chyba będziesz musiał skrócić swój pobyt w Boise, kuzynie. - Carly uśmiechała się słodko. - Twoje biedne psy marzną, a ciebie to nic nie obchodzi. Powinieneś do nich pojechać. Tak świetnie rozpalasz ogniska... - Odwróciła się do Elliota. - Podać ci coś do picia? Może masz ochotę na herbatę?

- Nie, dziękuję. - Elliot zarumienił się jak panienka. - Przyszedłem cię prosić, żebyś się podpisała pod petycją. Byłbym zaszczycony, gdybyś zechciała ją podpisać jako pierwsza.

- Co to za petycja? - Carly wzięła od niego tekturkę

Obgryziony ołówek upadł na podłogę tuż obok wielkich wojskowych buciorów gościa. Elliot go podniósł i podał Carly. Z taką miną, jakby składał ofiarę potężnej bogini.

- Petycja w sprawie windy - powiedziała Carly, przeczytawszy przypiętą do tekturki kartkę.

- No właśnie - mruknął Elliot. - Ta winda to prawdziwa pułapka. Koniecznie trzeba ją naprawić. Napisałem listy do właściciela i do administratora, ale dotąd nic otrzymałem odpowiedzi. Nadszedł czas na bardziej radykalne posunięcie.

Jack zastanawiał się, od jak dawna ten wariat mieszka naprzeciwko Carly. Co spojrzął na nią, to się ślinił. Oczywiście ona nie powinna paradować przed nim w nie dopiętym szlafroku. Jack chciał jej nakazać, żeby poszła do sypialni i ubrała się przyzwoicie. Na szczęście w porę ugryzł się w język.

- Dziękuję, że dałeś mi możliwość podpisania petycji jako pierwszej. - Carly z uśmiechem oddała Elliotowi kartkę. - Tylko, widzisz, mnie ta winda wcale nie przeszkadza.

- Przecież w niej utknęłaś - przypomniał Elliot.

- Doskonale sobie radzę bez niczyjej pomocy. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Naprawdę nie musisz się o mnie martwić.

Elliot patrzył na jej dłoń, a jego policzki siały się purpurowe.

- Ja to podpiszę - zaproponował Jack.

Wyciągnął rękę po tekturkę, lecz Elliot przytulił ją do siebie jak najdroższy skarb.

- Nic. - Jego powiększone przez grube szkła źrenice były teraz wielkości łebka od szpilki. - To jest zadanie dla stałych mieszkańców, a ty tutaj nie mieszkasz.

- Ale korzystam z windy.

- Nie szkodzi. Zresztą to i tak już nieważne. - Elliot podał petycję. - Zmieniłem zdanie

- Och, Elliot, nie rezygnuj - poprosiła go Carly.

- Nie, to rzeczywiście nic ma sensu. - Elliot pokręcił głową. Ogon jego czapki kołysał się wściekle na boki.

Jack nie wtrącał się do rozmowy. Dopóki Elliot nie wyszedł, nie odezwał się ani słowem. Na szczęście nie trwało to długo.

- A mnie się zdawało, że to ja mam dziwacznych sąsiadów - powiedział, gdy Carly, odprowadziwszy gościa i zamknąwszy za nim patentowy zamek, wróciła do pokoju.

- Elliot wcale nic jest dziwaczny. - Carly bez wahania stanęła w obronie sąsiada. - Jest samotny i bardzo niepewny siebie. A ty jeszcze przez cały czas się na niego gapiłeś.

- Owszem, gapiłem się, ale na ciebie. Następnym razem ubierz się, kiedy będziesz przyjmowała gości. I tak trudno jest mi znaleźć osobę, która ci grozi. Nie wiem, jak sobie poradzę, jeśli będę musiał inwigilować tabun sapiących facetów.

- Słucham?

Jack dopiero teraz skojarzył, że nie mówi jak strażnik prawa, lecz jak narzeczony. Wściekły i bardzo zazdrosny narzeczony.

Nie cierpiał zazdrośników. Nigdy przedtem nie był zazdrosny, nic więc dziwnego, że przeraziła go ta nowa dla niego emocja. No i ten Elliot, który bardzo mu się nie spodobał. Jeśli chciał dobrze wykonać swoją pracę, jeśli miał obronić Carly przed Elliotem i całą resztą szaleńców tego świata, musiał przynajmniej ją mieć po swojej stronie.

- Przepraszam cię za wczorajszy wieczór - powiedział, choć naprawdę wcale nie było mu przykro.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Nie ruszać się! - pisnął tłuściutki, pięcioletni okularnik.

Carly wycofała się w kąt wielkiego, pięknie urządzonego pokoju. Nie mogła oczu oderwać od broni, którą malec trzymał w ręku. Była przerażona, choć napastnik sięgał jej ledwie do pasa.

- Na moich urodzinach mają być hot dogi - oznajmił Oliver Winston Hodges III. - Wielkie, z musztardą i keczupem. I mnóstwo frytek.

- Najpierw odłóż broń, Oliverze, a potem porozmawiamy. - Carly starała się, żeby polecenie zabrzmiało stanowczo. Nie bardzo jej się udało.

- Nie! - wrzasnął chłopczyk i postąpił jeszcze jeden krok w jej stronę. Jego gwardia zrobiła to samo. Tabun dzieciaków otoczył Carly i pokazywał ją sobie palcami, jakby była egzotycznym okazem fauny.

- Nie chcę żadnego tofu! - krzyczał Oliver, a jego różowe policzki zrobiły się czerwone jak wóz strażacki. - Nie będę jadł tofu! Nie cierpię tofu!

- Twoi rodzice życzyli sobie, żebyś jadł tofu - tłumaczyła Carly, starając się nie patrzeć na to, co trzymał w dłoni mały terrorysta. - Kazali mi przygotować tofu na twoje przyjęcie urodzinowe, ale my zaraz sobie z tym poradzimy. Zrobimy hot dogi z tofu, dodamy musztardy, keczupu...

- Nie! Nie! Nic! - wrzeszczał Oliver Winston Hodges ID, ze złością tupiąc nogami.

Wciśnięta w róg pokoju Carly zaczęła się zastanawiać, czy zgłoszenie Delicji Carly jako fundatora nagród w radiowym konkursie nie było aby głupim pomysłem. Nie przypuszczała, że przyjdzie jej obsługiwać przyjęcie urodzinowe pięciolatka.

Będę zgrzybiałą staruszką, zanim Oliver Winston III i jego mali przyjaciele usamodzielnią się i wzbogacą na tyle, żeby skorzystać z usług mojej firmy, pomyślała. A jego rodzice od razu sobie poszli, więc na nich moja sztuka kulinarna też nie zrobi wrażenia.

Dobrze chociaż, że Jack siedzi w kuchni. Carly nie miała ochoty, żeby stamtąd wychodził i ratował ją z opresji. Sama potrafiła sobie poradzić, nie potrzebowała do pomocy żadnego faceta. Choć wiele by dała za to, żeby mieć pod ręką jego pistolet.

- A więc chciałbyś hot dogi? - zapytała. Z największym trudem opanowała drżenie głosu. Zresztą i tak niewiele jej z tego przyszło, bo nawet te małe dzieci zauważyły, że próbuje się wymknąć z pułapki.

- I czarodzieja. - Solenizant stawiał coraz to nowe warunki. - Prawdziwego czarodzieja, który potrafi znikać różne rzeczy i umie przekroić dziewczynkę na dwie połowy. - Odwrócił się do stojącej obok niego koleżanki o złotych kędziorkach i uśmiechnął się. - Chcę, żeby było dużo krwi.

Ekstra, pomyślała Carly. Jak dorośnie, będziemy mieli następnego Chestera Winnifielda.

Chociaż teraz wolałaby mieć do czynienia z prawdziwym, dorosłym szaleńcem niż z tym małym potworem. Anonimowy list, który rano wyjęła ze skrzynki, nie przestraszył jej tak bardzo jak ten wredny berbec.

Oliver bez uprzedzenia podetknął jej pod nos swoją broń. Carly odwróciła głowę i krzyknęła przeraźliwie.

Jack w ułamku sekundy znalazł się przy niej.

- Co się... - Zamilkł, zobaczywszy dzieci otaczające śmiertelnie przerażoną Carly.

- Ja... sama sobie poradzę -jęknęła. - Wracaj... do kuchni.

Jack był przyzwyczajony do wydawania rozkazów, a nie do ich odbierania. Ani myślał wracać do kuchni. Oparł się plecami o ścianę i uśmiechnął się do Carly.

Boże, jakże ona go w tej chwili nienawidziła! Co najmniej tak samo jak swoich starszych braci, którzy byli winni temu, co się z nią teraz, działo. To oni włożyli jej do łóżka szczura! Śmiali się do rozpuku za każdym razem, kiedy wspominali, jak dostała hysterii, bo po ciemku nie widziała, co po niej łązi. Uważali, że sprawiedliwie ukarali siostrzyczkę za jej długi język, choć Carly nazywała to ohydną zemstą. Ale nikt oprócz niej nie wiedział, że po tamtym incydencie nabawiła się paraliżującego strachu przed gryzoniami. Dopiero teraz wszyscy się dowiedzieli.

- Zabierz... to... ode mnie - wycedziła przez zaciśnięte zęby. Nie mogła patrzeć na różowy nosek i drgające wąsiki gryzonia.

- Pod warunkiem, że ty zabierzesz te idiotyczne czapeczki - wypali! Oliver. - I głupich baloników też nie potrzebuję. Nic jestem dzieckiem. Mam już pięć lat.

Urządzenie przyjęcia urodzinowego dla pięcioletniego rozbrykanego bachora na pewno nie było życiowym osiągnięciem Carly. ale pozwolenie sobie na to, żeby taki rozpuszczony pięciolatek ją szantażował, było zwyczajną hańbą. Zwłaszcza że świadkiem tego zdarzenia był nie kto inny. tylko Jack Brannigan.

Muszę się jakoś wykaraskać z tej idiotycznej sytuacji, pomyślała.

- Czy ktoś jeszcze coś chce? - Oliver zwrócił się do swych nieletnich przyjaciół. - Ciastka? Lody? Gry wideo?

Carly tymczasem zastanawiała się, którądy by tu uciec. Gdyby tak przejść koło szafy i dostać się za kanapę...

- Niech będzie coca-cola - zażądał Oliver, dumny ze swej nowo odkrytej siły. - Butelka dla każdego.

Ściśnięty za mocno szcurek pisnął przeraźliwie. Carly zamknęła oczy. Czekwała na śmierć.

- Hej, Hodges - rozległ się spokojny głos Jacka. - Wiesz, co to jest?

Carly uchyliła powiekę. Kątem oka zobaczyła, że Jack wjął z portfela srebrzystą odznakę.

Duch bojowy Olivera Winstona Hodgesa III znacznie osłabł.

- Widziałem. - Chłopiec próbował nadrabiać miną. - No i co z tego? Ty nie jesteś szeryfem, tylko kelnerem.

- Wpadłeś, kolego. - Jack ukrył odznakę w portfelu. - Jestem agentem do zadań specjalnych stanu Idaho. Pracuję w przebraniu. - Zrobił krok w stronę dzieci. Ręce zwiesił po bokach jak rewolwerowiec gotujący się do pojedynku. - Przysięgałem, że będę bronił prawa.

- N...no i... co z... tego? - zapytał pobladły Oliver.

- To, że naruszyłeś kilka przepisów prawa jednocześnie. Jedna z dziewczynek zaczęła głośno płakać.

- Nieprawda! - bronił się mały terrorysta.

- Zaraz się przekonamy. - Jack udawał, że się zastanawia.

- Szantaż, podburzanie tłumu, noszeni broni. Wystarczy, żeby cię skazano na dziesięć lat.

- Dziesięć lat?! - jęknął Oliver Winston Hodges III.

- Dziesięć lat więzienia - uściślił Jack. - Byłeś już kiedyś w więzieniu, chłopcze?

Oliver pokręcił głową. Oczywiście miał wielkie jak spodki.

- Na pewno ci się tam nie spodoba - mówił Jack. - Nie ma zabawek ani wodnego łóżka. A o huśtawkach możesz w ogóle zapomnieć.

- Ja chcę do mamy! - rozpłakał się któryś z chłopców.

- Mój tatuś nie pozwoli ci zabrać mnie do więzienia. - Oliver chwycił się ostatniej deski ratunku. - Jest bogaty.

- Prawo jest po mojej stronie, chłopcze - uświadomił małego Jack. - Aresztowałem już w życiu wielu przestępców. Niektórzy z nich byli bardzo bogaci. Bogatsi niż twój tata. - Poklepał się po spodniach, jakby naprawdę czegoś szukał w kieszeniach. - Zaraz, zaraz... Gdzie ja podziałem te kajdanki?

Oliver się załamał. Był bliski płaczu.

- Dziś są jego urodziny! - pisnęła jakaś dziewczynka.

- Nie może go pan aresztować w urodziny.

- Rzeczywiście. - Jack udał, że rozważa ten problem

- Urodziny w więzieniu? Okropne! No cóż, jeśli Oliver uwolni szczura i będzie się zachowywał jak dobry obywatel stanu Idaho, zastanowię się, czy nie wycofać oskarżenia.

Oliver wybiegł z pokoju tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to krótkie nóżki.

Carly wreszcie mogła odetchnąć, ale nogi wciąż miała miękkie jak z waty. Byłaby upadła, gdyby Jack jej nie podtrzymał.

- Sama bym sobie dała radę - mruknęła, tuląc się do niego.

- Nie bój się - szepnął jej do ucha. - Już nie ci nie grozi.

- Ja się nie boję - odpowiedziała odruchowo, choć wciąż jeszcze drżała po przebytym szoku. - Trochę się trzęsę, bo wypiałam o dwie kawy za dużo.

- Jasne. Zapomniałem, że ty się niczego nie boisz i potrafisz się sama o siebie zatroszczyć.

Chciała, żeby Jack przestał się uśmiechać z wyższością, ale w końcu zrobiło jej się wszystko jedno. Najważniejsze, że mogła się schować w jego ramionach. Była bezpieczna.

- Uspokój się - poprosił. - Teraz ja się tobą zaopiekuję.

Odwrócił się do dzieci, które wciąż stały jak wrośnięte w ziemię. Zachowywały się tak cicho, jakby ich wcale nie było.

- Jedzenie stoi na stole - powiedział. - Spodziewam się że zjecie wszystko do ostatniego okruszka.

Dzieciaki popędziły do jadalni tak prędko, jakby od tej prędkości miało zależeć życie ich wszystkich. Jack mógł się wreszcie zająć Carly.

- Odpręż się - polecił, masując jej zeszywniały kark.

- Myślisz, że jestem mięczakiem - chlipnęła, wtulając twarz w jego ramię.

- Myślę, że jesteś odważna i piękna.

- Nie kpj ze mnie. - Pociągnęła nosem.

- Ja nie żartuję - szepnął Jack. Przytulił ją do siebie.

Dotyk jego dłoni wywołał rozkoszny dreszcz. Carly zamknęła oczy i przytuliła się do Jacka. Tłumaczyła sobie, że musi się uspokoić po tym, co przed chwilą przeżyła.

Jack pocałował ją we włosy, potem w czoło. Nie wiedziała, jak to się stało, że zarzuciła mu ręce na szyję. Zapomniała o dzieciach, o szurku i o bożym świecie. Teraz był tylko Jack i tylko on się liczył.

- Carly - wyszeptał.

- Nic nie mów - mruknęła, tuląc się do niego. Było jej dobrze jak w niebie.

- Co tu się dzieje? - rozległ się ostry głos.

Westchnęła, gdy Jack się od niej odsunął. Niechętnie zdję-

ła ręce z jego szyi i wróciła do niezbyt miłej rzeczywistości. Tą rzeczywistością okazali się rodzice małego terrorysty.

- Zdawało mi się, że prowadzicie firmę cateringową - prychnęła pani Hodges. - A tymczasem wygląda mi to raczej na pogładową naukę technik seksualnych. Gdzie dzieci?

- W jadalni. - Jack rozluźnił kołnierzyk białej koszuli, która nagle zrobiła się stanowczo za ciasna. - Dławią się przysmakami zamówionymi przez panią na przyjęcie urodzinowe swojego jedynaka.

- Mama! - Oliver Winston Hodges III jak bomba wpadł do pokoju i rzucił się w objęcia swej rodzicielki. - On... on... - Wycelował w Jacka drżący paluszek, po policzkach płynęły mu łzy. - On powiedział, że pójdę do więzienia.

Carly poprawiła włosy i obciągnęła sukienkę.

- Zaraz podamy wspaniałą tort marchewkowy przybrany kiełkami rzodkiewek - próbowała ratować sytuację. - Oliver na pewno potrafi zdmuchnąć wszystkie świece naraz.

Oliver nie dał się nabrać na jej słodkie słówka. Zawył przeraźliwie, przytulając się mocno do swojej mamy.

- Nie pozwól im mnie zabrać, mamusiu - szlochał.

Pani Hodges tuliła do siebie synka. Patrzyła na Carly i Jacka jak na zbrodniarzy.

- Coście zrobili mojemu aniołeczkowi?

- Pani się myli - oświadczył Jack. - To wcale nie jest aniołek.

- Jack... - Carly położyła mu dłoń na ramieniu.

- Pozwól, że ja się tym zajmę. - Zrobił krok naprzód, chcąc samodzielnie stawić czoło Hodgesom. - Pani syn jest rozpuszczonym egoistą...

- Jest taki żywy - wpadła mu w słowo Carly. - Przyniosłam ze sobą gry, więc jeśli...

- Widzieliśmy próbkę tych waszych gier - warknęła pani Hodges. - Jak pan śmie obrażać mojego syna w moim własnym domu? - zwróciła się do Jacka. - Zaraz zadzwonię do tej radiostacji i każę się przeprosić na antenie za ten horror, który wy nazywacie nagrodą.

Przeszła obok nich z dumnie uniesioną głową. Na szczęście zabrała ze sobą swojego aniołeczka.

- Oczywiście nie ma mowy o zleceniu wam cateringu na ten lunch, o którym rozmawialiśmy - oświadczył pan Hodges, przyglądając się lubieżnie zgrabnej sylwetce Carly. - Nie potrzebuję tego rodzaju usług, panno Westin.

Carly nie zdążyła wymyślić żadnej profesjonalnej odpowiedzi na to oświadczenie, bo Jack odpowiedział za nią. Profesjonalnie wymierzył celny cios w podwójny podbródek Olivera Winstona Hodgesa II.

- Poniosło mnie - tłumaczył się Jack, gdy wracali do domu.

Miała na końcu języka gorzkie słowa, które od dawna chciała wypowiedzieć. Zamierzała wygarnąć Jackowi wszystko, choć nie wierzyła, żeby jej gadanie odniosło pozytywny skutek. Tacy mężczyźni jak Jack nie lubili słuchać cudzych racji i nie szanowali jej prawa do samostanowienia.

- Nie masz nic na swoją obronę - mruknęła. - Mnie nigdy w ten sposób nie ponosi.

Nie chciała mu robić wymówek. Żałował tego, co się stało, a to i tak bardzo dużo jak na prawdziwego mężczyznę. Prawdziwy mężczyzna po bójce idzie na piwo i nigdy niczego nie żałuje. Chyba że sam oberwie.

Zresztą nawet najostrzejsze wymówki nie zmieniłyby faktu, że kolejne przyjęcie zorganizowane przez Delicje Carly okazało się niewypałem, myślała rozgoryczona. Mogłaby



najwyżej postać Oliverowi parę głodnych kotów w charakterze spóźnionego prezentu urodzinowego.

Zarumieniła się ze wstydu, przypomniawszy sobie, jak pięcioletni chłopiec kompletnie ją zastraszył. Dobrze, że Jack był w pobliżu.

Jest beznadziejny, to fakt, ale umie się całować, pomyślała. Gdyby nie te jego przekłete zasady...

Niestety, przekłete zasady Jacka przekreślały jego szansę na szczęśliwe życie u boku Carly. Był jak te korzenie, które kiedyś odkryła w Willow Grove. Wyglądały apetycznie, ale kiedy się je zjadło, człowiek robił się zielony i chorował przez trzy kolejne dni. W ramionach Jacka czuła się bezpiecznie, a to tylko pogarszało sytuację. Nie chciała mu się poddać, nie mogła stracić niezależności, o którą tak zawzięcie walczyła przez całe życie.

- Obiecuję, że więcej się to nic powtórzy - odezwał się Jack.

Carly uśmiechnęła się, widząc, jak rozciera sobie obolałe palce. Mówił jak mały chłopiec, który przeprosza za udział w bójkę na szkolnym boisku. Naprawdę miała ochotę pogłaskać go po głowie.

- Nie przejmuj się. - Zatrzymała samochód na światłach.  
- Obiecuję, że nikomu nie powiem.

- Dziękuję. Naprawdę nie powinniśmy się byli całować. To był wielki błąd. Najlepiej w ogóle o tym zapomnijmy.

Carly dosłownie zatkało. Była oburzona, upokorzona i Bóg jeden wie co jeszcze.

- Przepraszasz za to, że mnie pocałowałeś? - zapytała, gdy odzyskała mowę. Nijak nie mogła uwierzyć, że dobrze go zrozumiała.

- Poniosło nas... - Jack przesunął dłonią po włosach.  
- To się zdarza. Chciałem cię tylko uspokoić...

- Jak śmiesz! - wrzasnęła. Ruszyła spod świateł z pi-  
skiem opon. - Wcale nie musiałeś mnie ani uspokajać, ani  
bronić, ani tym bardziej całować. Tak, to rzeczywiście był  
błąd. Ale to ty go popełniłeś.

- Znasz moje zasady...

- Masz mnie natychmiast przeprosić! - Nie dała mu  
dojść do słowa. - Ale nie za ten niewinny, nic nie znaczący  
pocałunek, o którym już dawno zapomniałam.

Jak ja w ogóle mogłam myśleć z sympatią o takim wred-  
nym facecie? Gdyby mógł, wsadziłby mnie do ciasnej klatki,  
żebym nawet ruszyć się nie mogła. Całuje jak marzenie i je-  
szcze mnie za to przeprasza! Skończony dureń!

Carly podjechała pod dom i zaparkowała samochód. Do-  
piero po chwili zauważyła półnagiego mężczyznę stojącego  
pod oknem jej mieszkania.

- Alma! Alma. kochanie moje! - wrzeszczał nagus, nie  
zważając na strugi zimnego deszczu.

- Oho! Przybył Stanley - mruknął Jack.

Gdy Carly i Jack wysiadali z samochodu, na drugim pię-  
trze otworzyło się okno i ukazała się w nim kobieca postać.

- Wynoś się. Stanley! - wrzasnęła Alma, wymachując  
kryształowym wazonem. - Nie jestem dla ciebie żadnym  
kochaniem. Twoja ukochana ma na imię Jemima. Już zapo-  
mniałeś?

Niewierny mąż odsunął się w samą porę. Wazon roztrza-  
ska! się o mokry beton.

- Almaaaa! - zawył Stanley, klękając na trawniku.

Biały pudel pani Kolińskiej wystawił łeb przez kratę w ok-  
nach i zawył równie przeraźliwie jak Stanley. I wyli tak ra-  
zem w zgodnej harmonii: Stanley powtarzał imię żony, a pu-  
del wył dla towarzystwa.

- On chyba jest pijany - powiedziała Carly, podchodząc

do klęczącego Stanleya. Whisky czuć było od niego na kilometr.

Jack nie musiał się zbliżać, żeby wiedzieć, w jakim stanie znajduje się małżonek Almy. Podszedł tylko po to, żeby zrobić z nim porządek.

- Wracaj do domu, chłopie. - Podniósł Stanleya z klęczek. - Wsadzę cię do taksówki.

- Ja nie chcę do taksówki - jęczał Stanley. - Ja chcę do Almy.

- Gdzie masz koszulę? - zapytała Carly.

- Nie wiem. - Stanley spojrział na nią nabiegłymi krwią, nieprzytomnymi oczami. - Gdzieś się zapodziała. Alma lubi, kiedy jestem bez koszuli.

- Pewnie zostawił ją w tej butelce, w której się kąpał - mruknął Jack. - Jest taki zalany, że niewiele widzi.

- Jestem pijany z miłości. - Stanley chwiał się na nogach. - Ja chcę do mojej ukochanej! Chcę do Almy! - Znów uniósł głowę ku zamkniętemu teraz oknu. - Alma! Almaaaa!

- Wszystko skończone, Stanley - pisnęła Alma, wychylając się z okna. Tym razem zrzuciła na dół granatową poduszkę. - Jeśli czujesz się samotny, to popłacz sobie w poduszkę.

Poduszka odbiła się od głowy Stanleya, upadła w błoto. Stanley znów padł na kolana. Nie wiadomo, czy z braku sił, czy z powodu uderzenia poduszka.

- Almaaaa! - zawył.

Carly podniosła swoją poduszkę za jedyny nie ubłocony róg. Obawiała się, że jeśli to przedstawienie się nie skończy, to jeszcze przed świtem całe umeblowanie jej mieszkania z•najdzie się na trawniku.

- Zabierzmy go na górę - poprosiła. - Jeśli ten typ zaraz nie przestanie wrzeszczeć, wymówią mi mieszkanie.

Jackowi wcale się nie uśmiechało taszczenie podpitego mężczyzny, ale chyba rzeczywiście nie było innego wyjścia.

- No, chodź, wielkoludzie - mruknął, stawiając Stanleya na nogi.

Zarzucił go sobie na ramię jak worek, zaciągnął do windy i umieścił w rogu kabiny. Stanley kiwał się na boki, starając się ze wszystkich sił zachować równowagę.

- Jeśli te drzwi się nie otworzą, zgłoszę tę kamienicę do rozbiórki - zagroził Jack, gdy winda zatrzymała się na drugim piętrze. Z całej siły walnął pięścią w panel sterowania.

- To nie tak. - Carly odsunęła go na bok. Uderzyła guzik pięścią, odczekała chwilę, uderzyła ponownie. Uśmiechnęła się z wyższością, gdy drzwi, acz powoli, ale jednak się otworzyły.

- Następnym razem pójdziemy po schodach - mruknął Jack, ciągnąc bezwładnego Stanleya przez korytarz.

- Po coście go tu przyprowadzili! - napadła na nich Alma, gdy tylko Carly otworzyła drzwi. - Nie mam ochoty z nim się godzić.

- Twój małżonek nie byłby w stanie nawet wymówić słowa „pogodzenie” - powiedział Jack, rzucając bezwładnego Stanleya na fotel. - A o tym, żeby jakieś zainicjować, w ogóle nie masz co marzyć. Wlej w niego dzbanek kawy, bo inaczej nigdy się go nie pozbędziemy.

- Jak mnie tu nie chcą, to sobie idę - oświadczył z pijackim uporem Stanicy. Podniósł się z fotela, lecz podłoga tak się kołysała, że po dwóch krokach runął jak długi, obejmując ramionami doniczkę z palmą. - Nie martw się, Almo. nic mi się nie stało.

Carly pobladła. Stanley był stanowczo za blisko palmy. Obiecała sobie, że już nigdy w życiu nic będzie używała roślin doniczkowych w charakterze podręcznych schowków.

Musiła odwrócić uwagę Jacka od nieszczęsnej palmy. Postanowiła przynajmniej spróbować. Podeszła do znajdującego się w drugim końcu pokoju grzejnika i wyciągnęła nad nim zmarznięte dłonie.

- Nie grzeje - stwierdziła trochę za głośno.

- Dziwisz się? - Jack starał się na nią nie patrzeć. Nawet przemoknięta do suchej nitki, wyglądała prześlicznie. Może nawet jeszcze piękniej niż zwykle, bo mokra bluzka przykleiła się do ciała, nie ukrywając zupełnie niczego przed oczami Jacka.

- Potrafisz to naprawić? - zapytała Carly, nerwowo zerkając na palmę, której Stanley ani na krok nie odstępował.

Jack wyobraził sobie, jak tuli ją do siebie, ogrzewa swoim ciałem. Prędko pozbył się tej wizji. Już raz tego dnia dał się ponieść marzeniom. Nie miał zamiaru znów powtarzać tego samego błędu.

Zdjął mokrą marynarkę i podwinął rękawy koszuli. Pomyślał, że praca fizyczna dobrze mu robi. Może nawet uda mu się zapomnieć o tym, jak doskonale Carly do niego pasuje.

- Co to jest? - mruknął Stanley.

Jack odwrócił się od grzejnika. Spomiędzy gęstych liści palmy Stanley wyciągał kopertę. Jackowi serce podeszło do gardła, gdy przypomniał sobie, skąd zna ten kolor.

- Właśnie się zastanawiałam, co się z tym stało - powiedziała Carly stanowczo zbyt radośnie.

- Kto włożył ten list do palmy? - zapytała Alma, przejmując kopertę od Stanleya.

- Bardzo dobre pytanie. - Jack wziął kopertę od Almy, nim Carly zdążyła się do niej dostać. W kopercie była kartka koloru lawendy.

Dwanaście lat jestem w służbie, a jeszcze nigdy dotąd nie spotkałem świadka, który by lekceważył groźby, pomyślał

Jack. Tej Carly wcale nie trzeba chronić. Ją trzeba zamknąć w domu wariatów.

- Chcę wiedzieć, skąd to się tutaj wzięło - oświadczył.

- Natychmiast.

- Jestem przemoknięta! - protestowała Carly, szcękając zębami. - Pozwól mi się przebrać. Potem ci wytłumaczę to małe nieporozumienie.

Tym razem Jack nie dał się nabrać. Musiał z nią porozmawiać natychmiast, nim znów obmyśli sobie jakiś fortel, którym skutecznie uśpi jego czujność.

- Zdawało mi się dziwne, że nie dostałaś potem ani jednego anonimu - mówił. - Większość szaleńców, nawet tych nieszkodliwych, nigdy nie poprzestaje na jednym liście.

- Może mój szaleniec ma silną wolę - upierała się Carly.

- A może od samego początku mnie nabierałaś. Ten list jest identyczny jak pierwszy. Ta sama papeteria, takie same drukowane litery. I ta sama groźba.

- I taki sam głupi jak tamten - dodała Carly. Powtórzyła wierszyk z pamięci:

NIE KŁAM, KUCHARKO PRZEKŁĘTA,  
BO KŁAMIESZ JAK NAJĘTA.  
I SMUTNY BĘDZIE KONIEC  
TEGO, KTO KŁAMIE JAK ONA.

- Czy wiesz, co to znaczy? - spytał Jack, machając ko-pertą przed nosem Carly. - Ta kanalia wie, gdzie mieszkasz!

- Był tak wściekły, że mógłby ją udusić gołymi rękami.

- Czy jeszcze coś przede mną ukryłaś?

- Tylko jeden list i kawałek placka z jagodami - przyznała wcale nie skruszona. - Elliot nigdy nie jadł placka z jagodami. Schowałam kawałek dla niego, bo się bałam, że zjesz całe ciasto. Widziałam, jak pałaszujesz wypieki, więc nic zaprzeczaj - skorzystała z okazji, żeby przejść do ofensywy.

- Nie do wiary! - dziwił się Jack. - Ktoś grozi, że cię zabije, a ty mi robisz wymówki o kawałek ciasta.

- Kawałek ciasta? - oburzyła się Carly. - Ktoś inny mógłby pęknąć od takiej odrobiny.

Jack nie chciał się z nią kłócić. Prawdę mówiąc, nie miał na to siły.

Powiedziała, że dostała jeszcze jeden list, pomyślał. Odkąd z nią zamieszkał, dostała dwa anonimy i do żadnego się nie przyznała.

Potem przyszło mu na myśl, że gdyby mniej się zajmował Carly i jej uroczą figurką, a bardziej sprawą, którą mu powierzono, być może wcześniej by się zorientował, że jest oszukiwany.

- Daj mi ten list - polecił.

- Zimno mi - marudziła. - Jestem cała mokra. Jak jeszcze trochę tu postoję, to nie będziesz mnie musiał chronić przed żadnymi szaleńcami, bo umrę na zapalenie płuc.

- Najpierw daj mi ten list. - Tym razem nie dał się ogłupić.

Carly zacisnęła usta, odwróciła się na pięcie i poszła do sypialni. Nie było jej całą wieczność. Kiedy wróciła, nic miała już na sobie mokrego ubrania, tylko ciepły szlafrok. Z kieszeni szlafroka wyjęła kartkę koloru lawendy i bez słowa podała ją Jackowi.

Obejrzał kartkę dokładnie, jakby miał nadzieję, że zdoła znaleźć coś, co naprowadzi go na ślad autora tych marnych rymów.

JEDEN, DWA I TRZY, I CZTERY,

KTOŚ SIĘ ZBLIŻA DO RUDERY.

PIĘĆ I SZEŚĆ, SIEDEM I OSIEM,

ŚMIERĆ WNET SIĘ DO CARLY ZGŁOSI.

Nie potrafił sobie wyobrazić, co by zrobił, gdyby znalazł

te listy za późno. Przez jego niedbalstwo Carly mogłyby już nie żyć. Na szczęście zdążył na czas. Jack miał nadzieję, że zdoła odrobić to, co tak beznadziejnie spała.

- Wprowadzam nowe zasady - oznajmił. - Ponieważ tobie nie można wierzyć, od dzisiaj ja będę otwierał twoją korespondencję. Poza tym drzwi będą zamknięte na klucz przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Bez mojej zgody nie wolno ci nawet wyjrzeć przez judasza. Jasne?

- Nienawidzę tych twoich zasad - oświadczyła Carly. - Przyznaję, że powinnam była dać ci te listy wcześniej, ale uznałam, że one i tak w niczym nie pomogą, za to mogą zaszkodzić mojej firmie.

- Widzę, że nie da się do ciebie dotrzeć inaczej niż poprzez tę twoją przekłętą firmę - zirytował się Jack. - Jeśli się okaże, że jeszcze coś przede mną ukryłaś, powiem o tym pani prokurator. O ile dobrze pamiętam, zawarłaś z nią pewien układ.

Niebieskie oczy Carly zrobiły się wielkie z przerażenia.

- Violet bez trudu znajdzie sobie w Boise inną firmę cateringową i komu innemu zapłaci za zorganizowanie bankietu - tłumaczył Jack, jakby miał wątpliwości, czy Carly dobrze go rozumiała.

- Nie możesz mi tego zrobić!

- Owszem, mogę. - Tym razem wreszcie zrozumiała. - Ja grozę tylko wtedy, kiedy mam zamiar spełnić groźbę. To proste jak konstrukcja gwoźdźcia: jeśli łamiesz zasady, musisz ponieść konsekwencje.

Rozciągnięty na podłodze Stanley jęknął.

- To nie jest dobry sposób na kobietę - wystękał. - Nie czytałeś „Po czym poznać miłość”?

Ani Carly, ani Jack nie zwracali na niego uwagi.

- Zachowujesz się tak, jakbym to ja była przestępcą - poskarżyła się Carly.



Nawet nic wiedziała, jak bardzo prawdziwe są jej słowa. Stała się dla Jacka ogromnym zagrożeniem, choć nawet przed sobą nie chciał się do tego przyznać. Sprawiała, że zmienił swoje zasady, mogła mu zrujnować karierę, a nade wszystko odebrać zdrowy rozum. Zwłaszcza gdy tak na niego patrzyła.

- Robię, co do mnie należy - powiedział. - I nie pozwolę, żeby mi ktoś w tym przeszkadzał. Nawet ty.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Profesor Chester Winnifield miał prawie sześćdziesiąt lat, a jego ręce były delikatne i miękkie w dotyku. Sprawiał wrażenie człowieka, który nigdy w życiu nie zhańbił się pracą fizyczną. Patrząc na niego, można by przysiąc, że nie byłby w stanie utrzymać w dłoni nie tylko pistoletu, ale nawet zwykłej procy.

- Dzień dobry. - Małe, brązowe oczka profesora świdrowaty Jacka, jakby chciały wywiercić w nim dziurę. - Pan pewnie na konsultację?

- Na konsultację? - zdziwił się Jack.

- Na konsultację w sprawach miłości. - Profesor mrugał krótkowzrocznymi oczkami. - Proszę się nie krępować, panie... - Zmarszczył brwi. - Proszę o wybaczenie, ale zapomniałem, jak brzmi pańskie nazwisko. Tyłu ludzi...

- Nazywam się Brannigan - przerwał mu Jack - ale nie mam zamiaru konsultować się z panem w sprawach miłości.

- Nie traćmy czasu na te nonsensy. - Profesor machnął ręką, jakby chciał przegonić natrętą muchę. - Obaj znamy powód pańskiej wizyty. Rozumiem, że trudno się oprzeć pokusie prywatnej rozmowy z twórcą tak kultowego dzieła jak „Po czym poznać miłość”. - Winnifield wyjął z kieszeni niewielki notatnik oraz srebrne pióro. Widać było, że jest tu na specjalnych prawach. Nie każdemu podejrzanemu o mor-

derstwo dany jest przywilej posiadania metalowego przedmiotu. - W czym mogę panu pomóc, panie Brannigan?

- Chciałbym zadać panu kilka pytań - zaczął nieco zniecierpliwiony Jack.

- Proszę się nie krępować. Najznakomitsi obywatele Boise spotykają się ze mną codziennie w tym samym celu. Miałem nadzieję, że pobyt w więzieniu będzie czymś w rodzaju długich wakacji, których od dawna nic miałem. Cisza, spokój, dużo czasu na przemyślenia... I wic pan, co się okazało?

- Że więzienie bardzo się różni od luksusowego hotelu.

- Owszem - skrzywił się profesor. - Jedzenie jest w najwyższym stopniu nieodpowiednie, a biblioteka posiada ubogi księgozbiór. Mam zamiar napisać książkę o tych przerażających warunkach.

- Będzie miał pan na to mnóstwo czasu - stwierdził Jack, zerknąwszy na zegarek. On nie miał tego czasu zbyt wiele.

- Niestety, książka będzie musiała poczekać. - Winnifield westchnął dramatycznie. - W tej chwili cały czas mam wypełniony prośbami o konsultacje w sprawach... jak by to powiedzieć... osobistych. Proszą mnie o to zarówno współwięźniowie, jak i ojcowie miasta. No, ale teraz porozmawiajmy o panu. - Winnifield otworzył notatnik i przygotował srebrne pióro. - Zacznijmy od pańskich snów.

- Moich snów? - zdziwił się Jack.

- Oczywiście, że od pańskich. - Winnifield skinął głową. - Potrafię odkrywać seksualną symbolikę w obrazach podświadomych. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak doskonale umiemy zamykać nasze najgłębsze pragnienia w nieświadomych obrazach.

- Ja nie mam żadnych pragnień - obruszył się Jack.

- Rozumiem. - Winnifield stuknął w stół krótkimi, tłusciutkiemi paluchami. - Całkowita kastracja emocjonalna.

W pierwszym odruchu Jack chciał zaprotestować przeciwko oburzającej sugestii profesora, ale zrezygnował z tego. Nie miał ani czasu, ani ochoty bronić swojej męskości. Potrzebował od profesora konkretnych informacji. I to szybko. Zanim Carly skończy rozmowę z prokuratorem.

- Proszę mi opowiedzieć o tym anonimie, który pan otrzymał.

- O jakim anonimie? - Tym razem zdziwił się profesor.  
- Codziennie otrzymuję setki listów od moich wielbicieli. Nie jestem w stanie wszystkich zapamiętać.

- Ten anonim, który oddał pan prokuratorowi. Ten z wierszykiem. - Jack powtórzył wierszyk w nadziei, że Winnifield przypomni sobie, o co mu chodzi. - „Wanilia i cukier są słodkie jak lukier, co świetnie pasuje do ciasta. Kozucha kłamczucha, paskudna dziewczucha, uciszę ją zaraz i basta”.

- Przykro mi, ale wciąż nie wiem, o co chodzi - nadał się profesor.

- Nie pamięta pan listu, który zawierał groźbę pod adresem panny Carly Westin? - zirytował się Jack.

- Nie. - Winnifield pokręcił głową. - Nic takiego nie pamiętam.

- Ale chyba pamięta pan Carly Westin? Ta pani jest koronnym świadkiem w sprawie, w której pan jest oskarżony. Ma zeznać przed sądem, że na własne oczy widziała, jak zastrzelił pan dwoje ludzi.

- Jestem niewinny - zaskrzeczał profesor.

- Wszyscy tak mówią.

- Tak, teraz sobie przypominam. Widziałem w gazecie fotografię panny Westin. Sympatyczna dziewczyna, choć byłaby ładniejsza, gdyby zmieniła uczesanie. Ma bardzo wybujałą wyobraźnię.

- Nie wymyśliła sobie tego, że widziała, jak zastrzelił pan Sophie Devine i Tobiasa Cobba.

- Ach tak, wiem, kim pan jest! - Twarz profesora się rozjaśniła. - Pan jest tym młodym człowiekiem, który ma chronić kucharkę, dopóki nie odbędzie się rozprawa. Powiedział mi o tym jeden ze strażników. - Profesor rozparł się na krzesło i złożył ręce na wydatnym brzuchu. - Fascynujące.

Jack zacisnął zęby. Nie podobało mu się, że służba więzienna informuje oskarżonego o tym, o czym z pewnością wiedzieć nie powinien. Nie podobało mu się także, że profesor przeskakiwał z tematu na temat jak oszalała piłeczka pingpongowa.

- Nie przyszedłem tu po to, żeby mówić o sobie.

- Ależ oczywiście. - Winnifield uśmiechnął się ze zrozumieniem. - Pan się interesuje panną Westin i tymi groźbami. Proszę mi o tym opowiedzieć.

- To pan ma mi o tym opowiedzieć, profesorze - zirytował się Jack. Spodziewał się, że jego misja ma niewielkie szanse powodzenia, a mimo to musiał spróbować. Winnifield mógł wiedzieć, kto pisze te anonimy. Mogło mu się wyrwać jakieś słowo albo nawet nazwisko, które naprowadziłoby Jacka na właściwy trop. - To pan jest ekspertem od zasad funkcjonowania ludzkiego umysłu.

- Szczera prawda.

- Studiuję pan i rozumie złożone emocje. - Jack mile łechtał profesorską próżność. - Widzi pan rzeczy, których inni nie dostrzegają. Ludzie się panu zwierzają...

- Mógłbym o tym opowiadać godzinami - rozmarzył się profesor. - Ale, oczywiście, nie powiem panu, czyje to tajemnice. Muszę dbać o swoją reputację, chociaż...

Jack czekał pełen nadziei. Gdyby udało mu się rozwikłać tę sprawę, udałoby mu się także obronić Carly, a. co najważ-

niejszc. mógłby się jej pozbyć, zanim ona doprowadzi go do obłądu.

- Mam wrażenie, że mogę panu dopomóc - mówił profesor, pisząc coś w notesiku.

- Proszę mi o wszystkim opowiedzieć - powiedział Jack.

- O wszystkim? - Profesor uśmiechnął się. - A ile pan ma czasu, panie Brannigan.'

Jack spojrział na zegarek. Powinien był stąd wyjść co najmniej pięć minut temu.

- Tylko tyle, żeby usłyszeć to, co powinienem wiedzieć.

- Wobec tego będę się streszczał. - Winnifield stuknął w stół końcem srebrnego pióra. - Jest pan podręcznikowym przykładem, drogi panie. Oczywiście mówię o moim podręczniku „Po czym poznać miłość”. Proponuję, żeby przeczytał pan sobie rozdział czwarty, poświęcony nie odwzajemnionej miłości. znajdzie pan tam sporo praktycznych porad na temat zdobycia sympatii panny Westin.

- Nie mam zamiaru zdobywać sympatii panny Westin.

Jack trząsł się ze złości. - Nie jestem w niej zakochany, mam ją tylko chronić. Na tym polega moja praca. Chyba nie potrafię panu tego jaśniej wytłumaczyć.

- Coś zanadto pan protestuje - zachichotał Winnifield.

- Jest pan klasycznym typem seksualnie sfrustrowanego samca. Zirytowany, spięty, gotów do walki... Może pomogą panu moje uwagi zawarte w rozdziale trzecim...

- Nie potrzebuję żadnych rad od człowieka, który rozwiązuje swoje problemy za pomocą pistoletu.

- Nie do twarzy panu z sarkazmem, drogi panie. - Winnifield poczuł się urażony. - Jeśli w ten sposób odzywa się pan do panny Westin, to nic dziwnego, że pana odrzuciła. Miłość mówi pieszczotliwie.

- Już to słyszałem. Nie jestem zainteresowany pańskimi

przykazaniami, profesorze. Szukam podejrzanego. Chcę znać nazwisko osoby, która napisała anonim. Jedno nazwisko i przestanę panu zawracać głowę.

Jack doskonale wiedział, że autorem anonimów mógł być sam Winnifield. Mógł nie tylko napisać anonim, ale sterować całą intrygą z więzienia. Miał tylu wielbicieli, że nie musiałby nawet przekupywać strażników. Wystarczyłoby, że poprosiłby ich o przysługę.

- Niestety, nic można mieć wszystkiego, co by się chciało - westchnął filozoficznie Winnifield. - Może pan o tym przeczytać w rozdziale jedenastym mojej książki w części zatytułowanej „Fobie i fetysze”. - Profesor zamknął notatnik. - Proszę wrócić, gdy przeczyta pan moją książkę. Wówczas będziemy mogli dłużej porozmawiać.

Jack był wściekły. Intuicja mu podpowiadała, że trzepnięty profesor coś wie, tylko nie chce się do tego przyznać. Może nawet zna osobę, która wysyłała do Carly listy z pogroźkami. Niestety, Jack nie miał czasu, żeby rozegrać tę grę tak, jak należało. Nacisnął guzik dzwonka przyzywającego strażnika.

- Na koniec jeszcze jedna rada - zawołał profesor za wychodzącym Jackiem. - Z rozdziału dziewiątego. Nie należy mieszać interesów z przyjemnością, bo to grozi poważnymi konsekwencjami.

Jack wpadł do gabinetu prokuratora bez pukania.

- Gdzie ona jest?

Violet Speery siedziała przy wielkim biurku. Przemawiała słodko do słuchawki telefonu. Patrzyła z dezaprobatą, jak Jack przeszukuje wszystkie kąty jej gabinetu. Zanotowała coś na karteczce, pożegnała rozmówcę i odłożyła słuchawkę.

- Usiądź, proszę - zwróciła się do Jacka. - Rozumiem, że chodzi ci o pannę Westin.

- Nie mając ani w poczekalni, ani w toalecie, ani nigdzie na całym tym piętrze - powiedział. Spojrzał na zegarek. Chyba po raz setny, odkąd spuścił Carly z oczu. - Nie było mnie zaledwie pół godziny, a ta kobieta już zdążyła się zgubić.

- Ty chyba jednak trochę przesadzasz.

- Robi mi się niedobrze, kiedy słyszę, że przesadzam! Życie tej kobiety jest w niebezpieczeństwie! Ciekaw jestem, co zrobisz, kiedy jutrzejsze gazety doniosą o zaginięciu koronnego świadka, którego porwano z biura prokuratora okręgowego?

- Nie rób sobie takich żartów. - Violet pobladła.

- Ja wcale nie żartuję - wściekał się Jack. - Chociaż widzę, że poza mną nikt nic traktuje sytuacji poważnie. Zwłaszcza Carly. Widziałaś te anonimy, które ci posłałem do biura?

- Właśnie w tej sprawie dzwonili z laboratorium. Na papierze nie znaleziono żadnych odcisków palców, poza twoimi, panny Westin oraz Almy i Stanleya Jonesów. - Violet spojrzała na niego z dezaprobatą. - Co ty wyprawiasz, Jack? Chronisz świadka, czy wydajesz przyjęcie.'

- Przede wszystkim staram się nie zwariować. - Jack wędrował po gabinecie tam i z powrotem. - Ale nie martw się, Violet, na pewno sobie poradzę. Tylko gdzie, do diabła, jest teraz Carly?

- Siadaj! - poleciła mu Violet. - Od tego twojego chodzenia zakręciło mi się w głowie. Panna Westin poszła napić się kawy.

- Puściłaś ją samą? - Jack nie posiadał się ze zdumienia.

- Tak, puściłam ją samą aż na parter - kpiła Violet. - Wątpię czy ktokolwiek, nawet największy szaleniiec, odważyłby się zaatakować ją w budynku sądu. Zapomniałeś, że na korytarzach są strażnicy?



- Szalenciej tu nie dopadnie, ale ona... Nie masz pojęcia, ile kłopotów potrafi sobie narobić dosłownie w kilka minut. Skoro ci powiedziała, że idzie na kawę, to pewnie miała na myśli wyprawę do Brazylii. Carly w niczym nie przypomina naszych dotychczasowych klientów.

- To oczywiste. Czy zdarzyło się coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Nic, z czym sam bym sobie nie poradził - mruknął Jack.

No bo istotnie nie zdarzyło się nic specjalnego. Jeden pocałunek, kilka spojrzeń i stanowczo za dużo marzeń. Tak dużo, że od dwóch tygodni nie przespał spokojnie ani jednej nocy. Mimo to oprócz jednego przelotnego, choć bardzo intensywnego kontaktu podczas urodzin tamtego przekłętego bachora, Jackowi udało się zachować wobec Carly profesjonalny dystans.

- Czy mógłbyś mi wytłumaczyć, co to znaczy? - zapytała Violet.

- To znaczy, że jeśli ta tchórzliwa kreatura od anonimów nie zdoła jej zabić, to ja to zrobię. Carly Westin jest najbardziej upartym, lekkomyślnym i nieodpowiedzialnym świadkiem, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia. Liczę dni, a właściwie minuty do chwili, kiedy będę mógł jej więcej nie oglądać.

- Miewałeś już przedtem trudnych świadków. - Violet przyglądała mu się podejrzliwie. - Dlaczego z nią sobie nie radzisz?

- Ja sobie z nią nie radzę?! - obruszył się Jack. - Nie jest mi łatwo, ale panuję nad sytuacją.

- Wierzę ci - westchnęła Violet. - Masz zbyt wiele do stracenia, żeby pozwolić sobie na partactwo.

Drzwi gabinetu się otworzyły. Jack omal nic wyskoczył ze skóry.

- Gdzieś ty się podziewała?! - wrzasnął. Do gabinetu weszła drobna starsza pani, która od lat prowadziła sekretariat Violet.

- Ja... Ja byłam w toalecie - tłumaczyła się wystraszona starsza pani. - W trzeciej kabinie. Już pan zapomniał?

- Nic zapomniałem. - Jack się zarumienił. - Jeszcze raz bardzo panią przepraszam.

Chciał wyjść, ale Violet go zatrzymała.

- Zaczekaj, Jack. - Pani prokurator wstała zza biurka, obciągając elegancki szary żakiet.

- O co chodzi? - Jack zatrzymał się obok drżącej ze strachu sekretarki.

- Wiem, że panna Westin sprawia ci wiele kłopotu - powiedziała Violet - ale. proszę cię, uważaj. Gdy agent traci spokój, zaczyna popełniać błędy.

Jack skinął głową i wyszedł z gabinetu. Nie powiedział Violet o błędzie, który już zdążył popełnić. Nie przyznał się, że wciąż nie może zapomnieć o tym, jak Carly się do niego przytulała. Jakże mało brakowało, żeby pogwałcił swoją najświętszą zasadę. Mógł zniszczyć swoją karierę, stracić zaufanie przełożonych i przyobiecany awans.

Koniec z tym, postanowił Jack. Za tydzień zacznie się rozprawa i przez ten tydzień ta nieznośna dziewczyna będzie mnie słuchać. Czy tego chce. czy nie. Tylko przedtem muszę ją znaleźć.

Carly patrzyła w wielką szybę kawiarni. Przed budynkiem sądu przechadzał się Jack. Miał taką minę, jakby chciał kogoś udusić gołymi rękami.

Carly się uśmiechnęła. Wolność smakowała lepiej niż tort czekoladowy. Zwłaszcza że uwolniła się od mężczyzny, który nie mógł odżałować, że ją pocałował.

- A więc jesteście umówieni - powiedział Niles Winsett, jej kolejny klient. - Naprawdę nie mogę się doczekać.

Carly była szczęśliwa, że wreszcie trafił jej się ktoś, kto czekał z utęsknieniem na wypróbowanie jej kulinarnych umiejętności.

- Jestem pewna, że będzie pan zadowolony z naszego menu - oświadczyła.

Znow zerknęła w okno. Jack przyczepił się do dwóch ubranych na czarno motocyklistów obwieszonych łańcuchami, którzy zaparkowali motor obok samochodu Carly. Carly była całym sercem po stronie tych młodych ludzi.

- Jedzenie na pewno będzie doskonałe - odparł Niles. - Czekajcie nas pierwsze z wielu przyjęć w moim domu organizowanych przez Delicje Carly.

Nareszcie odniosłam sukces, pomyślała. No, może jeszcze nie sukces, ale na pewno zrobiłam krok na stromej drodze do sukcesu. Ten pomysł z konkursem radiowym nie był w końcu taki najgorszy.

- Proszę mi wybaczyć. - Niles wstał od stolika. Otulił wąskie ramiona czarną peleryną. - I tak już strasznie się zasiedziałem. Wracam do domu, do mojej ukochanej Marguerite.

- Nic nie szkodzi. - Carly obserwowała, jak Jack przechodzi przez ulicę i staje przed oknem kawiarni. Oniemiał, gdy dostrzegł ją w środku.

- Tak niewiele czasu nam zostało - westchnął Niles, nakładając na głowę czarny kapelusz z wielkim rondem. - Nie powinienem tracić ani chwili.

- Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać - powiedziała nieco zaniepokojona Carly.

Drzwi kawiarni otworzyły się z łoskotem, a do ciepłego wnętrza wpadł chłodny powiew.

- Cała przyjemność po mojej stronie - zapewnił ja Niles. Carly siedziała ze wzrokiem wbitym w filiżankę z resztką kawy. Niles zabrał ze sobą jej dobry humor.

- Wszędzie cię szukałem - oznajmił Jack nienaturalnie spokojnym głosem.

Chciała coś powiedzieć, ale położył jej dłoń na ramieniu.

- Nic nie mów. Sam zgadnę. - Pochylił się nad stolikiem. - To był Drakula, a ty pozwoliłaś mu napić się swojej krwi. Oczywiście pod warunkiem, że Delicje Carly przygotowują jedzenie na przyjęcie Z okazji Święta Zmarłych.

- Jesteś zły? - Carly spojrzała na niego z miną niewiniątka.

- To mało powiedziane. - Usiadł obok niej przy stoliku. - Czy ty masz pojęcie, jaka jesteś ważna dla wymiaru sprawiedliwości w tym stanie? Bez twojego świadectwa ten szalony morderca będzie sobie swobodnie spacerował po ulicach, jak gdyby nic się nie stało. Tu nie chodzi tylko o twoje życie, Carly. Chodzi o zadośćuczynienie za życie Sophie Devine i Tobiasa Cobba, o bezpieczeństwo publiczne. Jeśli Winnifield się z tego wykręci, to jeszcze zarobi krocie na swojej zbrodni. Nie wierzę, że naprawdę tego chcesz.

- Mam wrażenie, że nikogo nie obchodzi, czego ja naprawdę chcę. Zapomniałeś, że jestem człowiekiem? Żywą kobietą, a nie tylko świadkiem.

- Myślisz, że nic wiem - niemal wyszeptał. - Mało nie oszalałem. Wszędzie cię szukałem. Nawet w damskiej toalecie.

- A więc to moja wina. że sprawdzasz damskie toalety? - Carly zmięła serwetkę i rzuciła ją na stolik.

- Nic takiego nie powiedziałem. To moja wina, że w ogóle spuściłem cię z oka. Wyobrażałem sobie niestworzone rzeczy. Miałem tylko nadzieję, że znajdę cię żywą i że zdążę ci powiedzieć, co do ciebie czuję.

Już na nią nie krzyczał. Był troskliwy, niemal czuły. Carly nie mogła uwierzyć, że ten mężczyzna, który tak łagodnie do niej przemawia, to ten sam Jack Brannigan, którego znała, ochroniarz, który od pewnego czasu śnił jej się po nocach.

- Nigdy w życiu nie spotkałem takiej kobiety jak ty. - Wziął ją za rękę. - Carly, ja... Ja naprawdę dłużej już nie mogę. Musisz zacząć się zachowywać jak normalny świadek. Powinnaś się przejmować, powinnaś na siebie uważać, powinnaś się bać!

Biedny Jack, pomyślała Carly. Myślałam, że jestem mu obojętna, a tymczasem... Może powinnam mu powiedzieć, co do niego czuję?

- Jack, ja... - zaczęła. Słowa uwięzły jej w gardle, gdy poczuła na przegubie dłoni zimną stal.

- Mam cię! - Jego szare oczy błyszczały tryumfalnie.

Carly krzyknęła. Szarpała się z kajdankami, jakby rzeczywiście miała nadzieję, że uda jej się zwyciężyć.

Jack zatrzasnął drugą obrączkę kajdanków na swojej ręce.

- Idziemy, czy masz ochotę na jeszcze jedną filiżankę kawy? - zapytał spokojnie, jakby zupełnie nic się nie działo.

- Zdejmij mi te kajdanki! - krzyczała Carly. Nie mogła uwierzyć, że jeszcze przed chwilą tak ciepło myślała o tym potworze.

- Jasne, że zdejmę. Na sali sądowej, kiedy cię wywołają do złożenia zeznań.

Jak on śmie, myślała. Jak może mnie tak traktować! Jak zwykłą przestępczynię!

- Błefujesz - zawołała. Wykręcała rękę na wszystkie strony w nadziei, że zdoła przesunąć dłoń przez małe stalowe kółeczko. Nie udało się.

- Może i tak. - Jack się do niej uśmiechnął. Wstał i ruszył do wyjścia.

Carly musiała iść za nim. Gdyby nie poszła, ciągnąłby ją za sobą przez całe miasto. Co gorsza, miałyby z tego wielką uciechę. Była tego absolutnie pewna.

Ludzie się za nimi oglądali. Niektórzy przystawali, żeby lepiej się przyjrzeć niecodziennej scenie. Trzej starszaki siedzący na przystanku autobusowym bili brawo.

- Dobrze - powiedziała Carly, z trudem łapiąc oddech.  
- Postawiłeś na swoim. Teraz mi to zdejmij.

- Dopiero wtedy, kiedy dojdziemy do porozumienia. - Pokazał przednią szybę jej samochodu. - Widzisz?

Ktoś zatknął za wycieraczkę gałązkę rozmarynu.

- Po co to zrobiłeś? - obruszyła się.  
- To nie ja. Czy ty w ogóle wiesz, co to oznacza?  
- Owszem. - Wolną ręką wyjęła rozmaryn zza wycieraczki.  
- Będę mogła zrobić na kolację kurczaka w ziołach.

- Rozmaryn oznacza pamięć - pouczył ją Jack. - Znasz to: „Fiołki to wierność, stokrotki - nadzieja, rozmaryn dla umarłych. Lilie przynoszą spokój, margerytki radość, a róże daje się z miłości...” I tak dalej.

- Ochroniarz i poeta w jednej osobie. Ale mi się trafiło!  
- Nie jestem poetą. Tę piosenkę śpiewała moja matka.  
- Cień przemknął po jego twarzy. - W każdym razie ta roślina - dodała, pokazując gałązkę rozmarynu, którą Carly trzymała w palcach - symbolizuje śmierć. Ktoś za tobą chodzi, Carly. Ktoś, kto prowadzi śmiertelnie niebezpieczną grę. Teraz też pewnie na nas patrzy.

Musiała się bardzo starać, żeby się nie rozejrzeć.

- Już ci powiedziałam, że postawiłeś na swoim. - Obliznęła spierzchnięte wargi. - Czy teraz mnie uwolnisz?

Jack otworzył drzwi samochodu, poczekał, aż Carly wsiądzie, po czym usiadł przy niej. Odsunęła się najdalej, jak mogła.

- Wygodnie ci? - zapytał.
- Wypchaj się!

Carly naprawdę bardzo chciała go nienawidzić. Całą energię włożyła w to, żeby wyrzesać z siebie mnóstwo nienawiści, zapomnieć o tamtym niezapomnianym pocałunku i o zatroskanym wyrazie jego oczu, kiedy zauważył ją w kawiarni.

- Wiedz, że nic puszcę tego płazem - ostrzegła. - Złożę na ciebie pisemną skargę do prokuratora okręgowego, na policję i do samego gubernatora.

- Nic ci to nie da. Oni wszyscy są po mojej stronie. Wymiar sprawiedliwości nie lubi świadków, którzy nie chcą zeznawać. W tej sytuacji możesz wybierać: albo zgodzisz się na współpracę, albo... Spróbuj sobie wyobrazić, jak będziesz załatwiać potrzeby fizjologiczne przykuta do mnie kajdankami przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Co mam robić? - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

- Przede wszystkim musisz się pozbyć Almy. Nie mogę cię chronić, kiedy ona swobodnie wchodzi i wychodzi z mieszkania o dowolnej porze. Ona i Stanley niczym się nie krępują, jakby byli u siebie. A co do Elliota, to od tej chwili nie ma prawa się do ciebie zbliżyć. Ja będę przynosił te jego gazety. I kopytka też będę mu dostarcza). Osobiście.

- Elliot jest nieszkodliwy.

- Sprawdziłem go. Pięć lat temu skończył studiu licencjackie na Uniwersytecie Stanowym w Boise, a potem został asystentem profesora Chestera Winnifielda.

- Nie wierzę.

- Tu znajdziesz wszystko, - Jack wyjął z kieszeni notesik i rzucił go jej na kolana. - Włącznie z numerem telefonu mojego informatora na uniwersytecie. Jeśli mi nie wierzysz, to możesz to sobie sama sprawdzić.

- Nie o to mi chodzi. Nie wierzę, że Elliot skończył stu-

dia. Choćby tylko licencjackie. Nigdy mi o tym nie wspominał.

- Chyba nie zrozumiałaś, co powiedziałem. - Jack wzniosł oczy do nieba. - Elliota łączyły z profesorem bardzo bliskie stosunki.

- Elliot nie jest gejem.

- Skąd wiesz? Zresztą nieważne. - Jack machnął ręką. - Zupełnie mnie to nie obchodzi i nie to miałem na myśli. Twój sąsiad uważa tego mordercę za swojego mentora. Uwielbia go. Czy możesz przewidzieć, jaki wpływ wywarł na niego profesor? Nawet ty przyznajesz, że Elliot jest dziwką.

- Jest bardzo wrażliwy na punkcie swoich brwi.

- W porządku. Od tej chwili będziemy unikać tego wrażliwca. Powinniśmy też unikać Almy i Stanleya.

- Nilesa Winsetta też?

- Kim jest Niles Winsett? - Jack spojrzał na nią podejrzliwie.

- Na pewno nie jest Drakulą. To trzeci zwycięzca radiowego konkursu.

Carly wiedziała, że choćby stanęła na głowie, przed sprawą sądową Jack nie pozwoli jej zorganizować żadnego przyjęcia. Przeciagnęła strunę, znikając bez opowiedzenia się. A przecież była bliska sukcesu. Gdyby nie Jack...

- Ten Zorro jest twoim następnym klientem? Co masz mu przygotować na przyjęcie? Krew byka?

- Nie wygłupiaj się. - Carly uznała, że nie ma sensu wtajemniczać Jacka w dość niecodzienne szczegóły przyjęcia u Winsettów. - To zwykła kolacja. Ma się odbyć w przyszły piątek.

- W porządku.

- W porządku? - zdziwiła się Carly. Pomyślała, czy aby



odrętwiałość ręki jakimś dziwnym sposobem nie przeniosła jej się na uszy. - Mogę zrobić to przyjęcie dla Winsettów? Naprawdę?

- Naprawdę. Obiecałem ci, że nie będę przeszkadzał w twoich konkursowych przyjęciach. Ja dotrzymuję słowa.

Carly odetchnęła z ulgą. Po raz pierwszy odkąd się poznała, nie miała nic przeciwko jego wspaniałym zasadom. Nawet je polubiła. Prawie.

- Czy mogę przyjąć, że wreszcie doszliśmy do porozumienia? - zapytał Jack, wyjmując z kieszeni metalowy klucz.

Nie miała wyjścia. Jeśli chciała zrealizować zamówienie Winsetta, musiała się zgodzić na idiotyczne żądanie dotyczące Almy i Elliota. Carly popatrywała to na klucz, to na kajdanki, potem znowu na klucz. Nie mogła sobie darować, że tak łatwo dała się podejść. Przysięgła w duchu, że Jack będzie jej musiał drogo za to zapłacić.

- Doszliśmy - potwierdziła.

- Doskonale. Ja też bym chciał, żeby nasza współpraca wreszcie dobiegła końca. - Włożył klucz do zamka i przekręcił go. - Może nawet bardziej niż ty. To jest moje ostatnie zadanie. Kiedy je wykonam, wyjeżdżam do Waszyngtonu.

- Nie wiem, jak się bez ciebie obejść w Boise - kpiła Carly, rozcierając obolały nadgarstek.

Jej duma ucierpiała bardziej niż nadgarstek. Jack nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie się jej pozbędzie! Jakby była psim przybłądą, którego trzeba przechować do rana, do czasu gdy otworzą schronisko. Fakt, że ona sama nie chciała Jacka Brannigana, że w ogóle go nie lubiła, ani trochę jej nie pocieszył.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Wyrzucasz mnie na bruk?
- Skądże! Daję ci możliwość zmiany miejsca zamieszkania. - Carly usiadła na łożku.

Postanowiła nie mówić przyjaciółce, dlaczego naprawdę wymawia jej mieszkanie. Nie chciała, żeby Alma się dowiedziała, że niezależna Carly Westin słucha poleceń jakiegoś faceta.

- Jest wiele powodów, dla których powinnaś zamieszkać sama - mówiła Carly, usiłując nadać swemu głosowi ton obojętny.

- A jeszcze więcej takich, dla których nie powinnam - odcięła się Alma. - Choćby ten, że mam dach nad głową, bieżącą wodę i towarzystwo mojej najlepszej przyjaciółki. A może już byłej przyjaciółki?

- Nie wygłupiaj się! Nadal jestem twoją najlepszą przyjaciółką. W przeciwnym wypadku nie prosiłabym cię, żebyś się wprowadziła.

- To najgłupsza rzecz, jaką od ciebie usłyszałam.

- Zastanów się nad tym - ciągnęła nie zrażona Carly.
- Nigdy w życiu nie byłaś zdana wyłącznie na siebie. Najpierw mieszkałaś z rodzicami, a po ślubie z mężem. Najwyższy czas, żebyś udowodniła sobie, iż rzeczywiście jesteś samodzielna. Dopóki mieszkasz ze mną, póki Stanley wciąż się

tu kręci, nic z tego nie będzie. Jesteś jak spadochroniarz, który boi się wyskoczyć z samolotu.

- Dlatego postanowiłaś mnie popchnąć? Nie oszukuj mnie, Carly. - Alma zrobiła obrażoną minę. - Wiem, że chodzi o ciebie i Jacka. To przez niego każesz mi się wynosić. Chcesz go mieć tylko dla siebie.

- Coś ty znowu wymyśliła? - obruszyła się Carly.

- Nic nie wymyśliłam. Uważasz, że nie mam oczu? Między tobą i tym facetem tak strasznie iskrzy, że nie będziesz musiała płacić rachunków za prąd.

- Przesadzasz. - Carly była pewna, że nie z powodu Jacka wciąż nie wyłączano jej prądu, choć już miesiąc temu powinna była uregulować rachunek.

- Naprawdę nie mogę zrozumieć, jak możesz wyrzucić na ulicę najlepszą przyjaciółkę. I to dla kogo? Dla jakiegoś osiłka! - Alma była bliska płaczu. - Ja bym ci nigdy czegoś takiego nie zrobiła.

- Tak sądzisz? - Carly aż zatkało na taką bezczelność. - Zapomniałaś, jak wysadziłaś mnie na środku drogi, żeby pojechać z Bartem Stolzem? Pięć kilometrów szłam na piechotę. W ciemnościach, zupełnie sama.

- To było w Willow Grove. A zresztą spacer wcale ci nie zaszkodził. Tamtego wieczoru zjadłaś kawałek tortu, pamiętasz ' Bałaś się, że przytyjesz i nie zmieścisz się w sukienkę przygotowaną na bal maturalny. Uznałam, że trochę ruchu doskonale ci zrobi.

- Wielkie dzięki. Dobrze, że wreszcie nadarza mi się okazja odwzajemnienia się za tamtą przysługę. Ciągłe narzekasz, że mieszkasz na walizkach. Będzie ci miło mieć wreszcie łazienkę do własnej dyspozycji.

- To mieszkanie ma jednak pewne zalety. Nie wiem, czy chciałabym z nich zrezygnować.

- Na przykład humorzastą windę. - Carly pospiesznie przypomniała przyjaciółce wszystkie niedogodności swojego lokum. - A dzięki uprzejmości pani Kolińskiej masz co rano ukrop w prysznicu. No i jeszcze ten piękny widok na śmietnik.

- Ty masz wszystko i nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy - westchnęła Alma. - I w ogóle tego nie doceniasz. To mieszkanie może rzeczywiście nie jest najwspanialsze, ale jest... prawdziwe. I z charakterem. Zawsze kiedy idę ulicą, mam wrażenie, że gram w telewizyjnym serialu kryminalnym. A twoja praca... Nie masz jeszcze trzydziestu lat, a już prowadzisz własną firmę. I nawet college'u nie skończyłaś.

- Mam dyplom Akademii Kucharskiej w Chateau. Dyplom z wyróżnieniem.

- Z korespondencyjnego kursu, na którym cię nauczyli, że wanilia i cukier są słodkie jak lukier - prychnęła Alma. - Ja przez sześć lat studiowałam w szkole teatralnej i skończyłam, prasując koszule w pralni chemicznej w Willow Grove. A ty tymczasem założyłaś własną firmę! Byłaś nawet świadkiem morderstwa! Twoje życie obfituje w przygody.

- Moje życie wcale nie jest zabawne. Firma stoi na krawędzi bankructwa, jakiś świr chce mnie zabić, a moje włosy zawsze wyglądają jak miotła, w którą uderzył piorun.

- I jeszcze ten Jack - ciągnęła Alma, jakby nie usłyszała narzekań Carly. - Co ty masz w sobie, czego mnie brakuje? Obie jesteśmy młode, atrakcyjne i wolne. Ledwie poznałaś tego faceta, a już zamieszkaliście razem!

- To tylko smutna konieczność

- Może na razie. Naprawdę nie kochasz Jacka?

- Zwariowałaś?

- Wobec tego masz na niego ochotę. Dlatego tak się zmieszłaś.

- Wcale się nie zmieszałam. O czym mówiłyśmy, zanim wspomniałaś o Jacku?

- O mojej samodzielności

- O, właśnie. Zobaczysz, że jak się przyzwyczaisz do tego pomysłu, to ci się spodoba.

- A co będzie, jak ty się przyzwyczaisz do tego, że Jack zawsze jest obok ciebie? - zapytała Alma. - On nie jest dla ciebie odpowiedni. Nie macie wspólnych zainteresowań i w ogóle do siebie nie pasujecie.

- Jesteśmy dwoma przeciwieństwami - zgodziła się Carly.

- Zapomniałaś, że przeciwieństwa się przyciągają? On jest laki sam jak twoi bracia. Nie dalej jak wczoraj widziałam, jak pił mleko prosto z kartonu. Czy będziesz mogła żyć z takim facetem?

- Naprawdę nie musisz mnie przekonywać. Sama wiem, że to okropny facet. Zresztą Jack ma zasadę, która nie pozwala mu się zakochać. Raz się pocałowaliśmy, a on potem bez przerwy mi powtarzał, jaki wielki błąd popełnił. Mało nie dostał zapalenia gardła od tego gadania.

- Jack cię pocałował? Gdzie?

- W usta.

- Nie o to mi chodzi. Zresztą, nieważne. Ważniejsze jest, dlaczego cię pocałował. Dopiero co powiedziałaś, że ma w tej materii jakąś zasadę.

- No bo ma. - Carly wzruszyła ramionami. Nie zamierzała tłumaczyć Almie, że żadne zasady nie zdołałyby zmniejszyć siły, jaka ich ku sobie popychała. - Zresztą ja też mam zasady. Zwłaszcza gdy chodzi o Jacka Brannigana. A szczególnie odkąd mnie zakuł w kajdany.

- Pocałował cię i zakuł w kajdany! - przeraziła się Alma - To jakiś zboczeniec! A więc sprawa jest przesądzona. Zostaję! Nie mogę zostawić cię samej z tym człowiekiem.

- Nic nie rozumiesz - zaczęła Carly.

- Znam się na mężczyznach lepiej niż ty. - Alma nie chciała słuchać jej wyjaśnień. - Mieszkałam ze Stanleyem cały rok i zobacz, jak to się skończyło. Nie chcę, żebyś któregoś dnia dowiedziała się, że Jack uprawia seks przez telefon.

- O to nigdy nie będę musiała się martwić. Ale mnie nie chodzi o Jacka...

- A czemu by nie? Wszyscy mężczyźni są jednakowi. A Stanley jest tak samo pociągający jak Jack. No i jest we mnie zakochany. Do szaleństwa. Szkoda, że nic widziałas tych bukietów, jakie mi przysyła do pracy. Koleżanki uważają, że chyba oszalałam, skoro nie chcę do niego wrócić.

- Chyba rzeczywiście oszalałaś. - Carly pokręciła głową.  
- Naprawdę rozważasz taką możliwość?

- Stanley potrafi być czarujący, zabawny i słodki jak mały kociak. Ale za dużo pije, ogląda się za kobietami i pracuje tylko wtedy, kiedy ma na to ochotę. Sama nie wiem, co robić - westchnęła Alma. - Właściwie chętnie bym się stąd wyprowadziła, ale jesteś moją najlepszą przyjaciółką i nic zostawię cię samej z tym potworem. Ty zupełnie nie znasz mężczyzn. Żaden chłopak w Willow Grove nie ośmielił się zaczepić siostrzyczki Westinów. Tutaj, w Boise, to co innego. Tu nie ma twoich braci, a ktoś przecież musi cię chronić.

Carly ukryła twarz w dłoniach. Chciało jej się wyć. Nie wiedziała, dlaczego wszyscy nagle się uparli, żeby ją chronić.

- Wobec tego postanowione! - Alma uśmiechnęła się zadowolona. - Zostaję.

- Nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia. - Zdesperowana Carly postanowiła powiedzieć jej prawdę. - Zresztą ja też. Jack kazał, żebyś się wyprowadziła.

- Od kiedy to słuchasz rozkazów? - zdziwiła się Alma.

- Odkąd zawarliśmy układ. Moje zadanie polega na tym, że mam ci pomóc przy pakowaniu.

- Naprawdę wolisz tego osiłka ode mnie? - Alma nie mogła w to uwierzyć.

- To nie tak - tłumaczyła jej Carly. - Ja ci daję możliwość rozwinięcia skrzydeł. Mówiłaś, że pieniądze nie stanowią dla ciebie problemu. Możesz sobie wynająć elegancki apartament w porządnej dzielnicy.

- Jeśli chcesz, żebym sobie poszła, to idę. - Alma wklepała w policzki tłusty krem. - Nie musisz mi tego dwa razy powtarzać. Mogę się wynieść choćby natychmiast.

- Głupstwa wygadujesz - westchnęła Carly. Przykro jej było, że przyjaciółka poczuła się obrażona. - Wystarczy, jeśli wyprowadzisz się rano.

- Co za wspaniałomyślność - zakpiła Alma. - Dobrze, że wreszcie się przekonałam, ile znaczy dla ciebie nasza przyjaźń. A mimo to obiecuję, że jeśli Jack cię uwiedzie i porzuci, to nie powiem ci „a nie mówiłam”. Nigdy! To w końcu twoje życie. Jeśli chcesz się związać z jakimś bałwanem, który pewnie zarazi cię wstydliwą chorobą, to twoja sprawa. Ja w każdym razie nie będę ci stała na drodze.

- Wzruszyłaś mnie do głębi serca.

- Ale stanę u twego boku, gdy ze złamanym sercem powrócisz do Willow Grove. - Alma przybrała minę cierpiénicy. - Samotna, ciężarna i bez środków do życia. Ludzie będą od ciebie stronić, rodzina się ciebie wyprze, ale ja cię przyjmę pod swój dach. Wychowam twoje dziecko i pomogę ci związać koniec z końcem.

- A czy pozwolisz mi sprzedawać na ulicy obrazki na szkle? - zapytała Carly. z trudem powstrzymując się od śmiechu.

- Możesz sobie ze mnie kpić, ile wlezie. - Almie wcale

nie było do śmiechu. - (O) d jutra nie będziesz mogła mną pomiatać.

Alma usiadła na swojej połowie łóżka. Zdjęła kapcie i z całej siły cisnęła nimi o ścianę. Dopiero potem wsunęła się pod kołdrę.

- Nie obrażaj się, proszę. - Carly była niepokieszona.

- Przecież się nie obrażam - chlipnęła Alma. - W końcu nawet się nie przyjaźnimy.

Carly nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby powiedzieć. Zresztą teraz to i tak nie miało wielkiego znaczenia, ponieważ Alma jej nie słuchała. Odwróciła się do niej plecami i nakryła głowę poduszką.

Bardzo się obraziła, pomyślała Carly. I to przez Jacka. Zniszczył moją niezależność, zagroził mojej firmie, a teraz jeszcze sprawił, że wszyscy przyjaciele się ode mnie odwrócili. Nie daruję mu tego!

Postanowiła się zemścić. Pragnęła zakpić sobie z jego zasad, a zwłaszcza z tej jednej, najświętszej. Postanowiła uwieść Jacka. Nie przeszkadzało jej nawet to, że aby dopiąć swego, będzie musiała go znów pocałować. Dałaby dużo więcej, żeby zobaczyć jego minę, kiedy mu powie: Mam cię! Tak jak on powiedział, kiedy zatrzasnął kajdanki na jej dłoni.

Była tylko jedna rzecz gorsza niż ochroniarz Jack Brannigan: chory ochroniarz Jack Brannigan.

- Przeżyjesz - powiedziała Carly, spoglądając na termometr.

- Wiem. że cię to martwi - mruknął.

Wszystko go bolało. Rano jeszcze wstał i nawet zrobił sobie śniadanie, ale nie miał siły go zjeść. Dopiero wtedy przyznał, że nie czuje się najlepiej. Około południa zda-



wato mu się, że za chwilę umrze. Carly w końcu zdołała go przekonać, żeby nie wzywał księdza, tylko położył się do łóżka.

Wyglądał bardzo mizernie, więc trochę go nawet żałowała, ale zaraz przypomniała sobie, że to przez niego Alma musiała się wynieść do luksusowego apartamentu z widokiem na czyste niebo nad Boise. I o spisie zasad, który przyczepił do drzwi lodówki. No i o tym, jak na oczach mnóstwa ludzi zakuł ją w kajdanki.

Przyszła jej ochota, żeby się zemścić i wcale się nim nie zajmować, ale po namyśle doszła do wniosku, że to by nie było uczciwe. Musiała poczekać, aż Jack wyzdrowieje, i dopiero wtedy dać mu obiecaną nauczkę.

- Ja miałabym się martwić? Gdyby nie ty, już dawno umarłabym z nudów. - Carly podwinęła rękawy flanelowej koszuli. - Poza tym jesteś mi potrzebny. Musisz mi pomóc obsłużyć to przyjęcie u Winsettów.

- Będę tam, czy tego chcesz, czy nie - jęknął. - Chyba że wcześniej umrę z głodu.

- Przecież piłeś syrop.

- To był syrop? Myślałem, że wlewasz mi do gardła terpentynę. Chciałem nawet dzwonić na policję i zameldować, że mnie otrułaś, ale nie miałem siły sięgnąć po słuchawkę.

- Nie marudź, tylko się zdrzemnij.

- Żebyś ty w tym czasie mogła sobie gdzieś pójść? Nie ma mowy.

- Nie mógłbyś mnie zatrzymać. Nawet gdybyś chciał.

- Podeszła do niego i dotknęła dłonią jego rozpalonego policzka. - Masz wysoką temperaturę.

Jack zamknął oczy. Było mu tak dobrze. Granica pomiędzy bólem a przyjemnością była bardzo cienka. Nie pamiętał,

żeby kiedykolwiek w życiu czuł się tak obolały i podniecony jednocześnie.

- Potwornie boli mnie głowa - jęknął. Miał nadzieję, że w ten sposób zdoła odwrócić swoją uwagę od innych części ciała, które bolały go nie mniej niż głowa.

- Dopiero za dwie godziny mogę ci podać aspirynę. Przez ten czas poleż spokojnie i staraj się za dużo nie myśleć.

Niezła rada, pomyślał. Rzeczywiście ostatnio stanowczo za dużo myśle. O słodkim zapachu jej włosów, o tym, jak się porusza, kiedy się nade mną nachyla. A już na pewno nie powinienem myśleć o tym, co mogłoby się stać teraz, kiedy jesteśmy całkiem sami.

- W głowie mi się kręci - poskarżył się.

- To normalne, kiedy się ma czterdzieści stopni gorączki.

- Carly zmoczyła ręcznik, wykręciła go i przyłożyła do czoła Jacka.

- I gardło mnie boli.

- To nie mów tyle. - Carly położyła palec na jego ustach.

- Ja tutaj wydaję rozkazy - jęknął.

- Już nie - powiedziała radośnie Carly. Tak, Jack wyraźnie usłyszał w jej głosie radość. - Masz grypę. To pewnie jakiś niegroźny wirus, ale i tak musisz zostać w łóżku przynajmniej do wieczora. - Poprawiła mu poduszkę. - Role się zmieniły, panie Brannigan. Teraz jest pan w moich rękach.

Jack spojrział na jej dłonie. Natychmiast sobie wyobraził, co mogłyby zrobić, gdyby tylko chciały. Zabronił sobie o tym myśleć. Nasunął kołdrę na oczy.

- Nie boisz się, że cię zarażę? - zapytał.

- Ja nigdy nie choruję - odparła, siadając obok niego na kanapie. - Moi bracia przebyli wszystkie zakaźne choroby, a ja nigdy nie miałam nawet anginy.

- Chcesz zaryzykować? - Jack się nie poruszał. Carly

była bardzo blisko, a on nie mógł się już od niej odsunąć. - W piątek masz przyjęcie u Winsettów, a w sobotę bankiet u prokuratora okręgowego.

- Nie boję się. Jestem bardzo odporna.

- Wreszcie rozumiem, dlaczego jesteś taka odważna. Uważasz, że jesteś odporna na wszystko.

- Nie na wszystko. Tylko na wirusy, zasady i nadopiekuńczych mężczyzn.

- Nie jesteśmy aż tacy straszni - mruknął Jack.

- Ty nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy się człowiek wychowuje w małym miasteczku pod opieką trzech starszych braci - westchnęła dramatycznie Carly. - Tylko nie myśl sobie, że ich nie kocham. Zawsze mnie doprowadzali do szału. Zresztą dotąd to robią, kiedy tylko mają okazję.

- Jak często?

- W Święto Dziękczynienia, na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. Moi rodzice życzą sobie, żebym przyjeżdżała na wszystkie ważne święta i trzymają mnie w domu dopóty, dopóki nie przytyję co najmniej o trzy kilogramy i nie wysłucham informacji o wszystkich kawalerach w miasteczku. Moja mama nie traci nadziei, że znajdę sobie męża w Willow Grove i do końca życia tylko dla niego będę organizować przyjęcia.

- Czy to znaczy, że sam będę sobie musiał zrobić coś do jedzenia? - zapytał Jack słabym głosem.

- Mam nadzieję, że wytrzymam usługiwanie ci przez jedno popołudnie. Zwłaszcza że jesteś w takim fatalnym stanie. Podam ci grzanki i słabą herbatę - zaproponowała. - Może być?

- A ja wolałbym chipsy z piwem.

- Nie ma mowy - odparła. - Pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale mnie naprawdę zależy na tym, żebyś wyzdrowiał.

Im szybciej, tym lepiej. Możesz dostać grzanki i herbatę albo patentowany lek przeciw grypowy mojej mamy.

- A co to za lek?

- Kleik cebulowy. Domowa mieszanka cebuli, mleka i płatków owsianych. W porównaniu z nim ten syrop od kaszlu smakuje jak ambrozja. - Uśmiechnęła się. wspomniawszy dzieciństwo. - Przynajmniej tak twierdzili moi bracia. Nicky, najstarszy z nich, nienawidził kleiku tak bardzo, że raz nawet zapłacił mi, żebym tylko schowała wszystkie cebule, jakie były w domu, ale to mojej mamie w niczym nie przeszkodziło. Zamiast kleiku cebulowego dostał czosnkowy. Kobiety Westinów zawsze stawiają na swoim.

- Kleik czosnkowy? - Jack zatrzęsł się z obrzydzenia. - To jakaś okrutna i niecodzienna tortura.

- No - zgodziła się Carly. - Nicky już nigdy więcej nie narzekał na kleik cebulowy. No więc jak? Nadal upierasz się przy chipsach z piwem?

- Stanowczo wolę grzanki i słabą herbatę - oznajmił Jack. - Na samą myśl o tych przysmakach burczy mi w brzuchu.

Carly nakarmiła go, napoiła i posprzątała po posiłku. Dała mu nawet dodatkowy koc, bo wciąż miał dreszcze.

- Dlaczego jesteś dla mnie taka miła? - zapytał Jack, widząc, jak się koło niego krząta. Nie wierzył w jej dobre intencje.

- Wydaje ci się - odparła, nie patrząc mu w oczy. Poprawiła mu poduszkę. - Zamknij oczy i prześpij się trochę.

Jack nie chciał spać. Bał się, że jak tylko się zdrzemnie, ona zaraz gdzieś sobie pójdzie i na pewno stanie jej się krzywda. Podłożył sobie ręce pod głowę, żeby mocją lepiej widzieć.

- Dobrze - powiedział. - Ale opowiedz mi jeszcze coś o swojej rodzinie.

Carly spojrzała na niego, zaskoczona. Potem wzruszyła ramionami i jeszcze raz zmieniła mu kompres.

- Pod warunkiem, że zamkniesz oczy.

Nie miał wyjścia. Musiał zamknąć oczy, choć doskonale wiedział, że Carly chce go uspić.

- Mój tata uwielbia oglądać „Prawników z Miasta Aniołów” - zaczęła Carly - więc możesz sobie wyobrazić, jak się czuł, kiedy mnie aresztowano.

- Ciebie? - Jack otworzył oczy.

- Nie powiem ani słowa więcej, jeśli zaraz nie zamkniesz, oczu - pogroziła mu Carly.

Zamknął oczy, choć i bez jego udziału pewnie i tak same by się zamknęły. Głos Carly był cichy, a dotknięcie jej chłodnej dłoni przynosiło ulgę.

- Zamknęli mnie za włączegostwo i zakłócanie porządku publicznego.

- Dlaczego ktoś miałby cię aresztować za włączegostwo w twoim rodzinnym mieście? Wzięli cię za kogoś innego, czy może wtedy ubierałaś się gorzej niż teraz?

- Ani jedno, ani drugie. Zorganizowano nam w szkole zajęcia pogładowe na temat bezdomności. Moja grupa miała za zadanie żebrać. Mnie przypadło w udziale miejsce na głównej ulicy, w pobliżu sklepu warzywnego. Alma pomogła mi zrobić kostium i charakteryzację.

- Przebrałaś się za włączegę? - Jack nie potrafił wyobrazić sobie innej Carly niż ta, którą znał. - Jak ktoś mógł się na to nabrać?

- Wcale nie byłam do siebie podobna. Nawet Nicky mnie nie poznał, kiedy przyjechał po mnie na komisariat.

- A dlaczego oskarżono cię o zakłócanie porządku publicznego?

- To było strasznie głupie...

- Nie szkodzi. Chętnie posłucham.

- Dobrze, ale pod warunkiem, że nie będziesz się śmiał.

- Nie będę się śmiał. Obiecuję.

- Mówię poważnie. Najmniejszy chichot i poczęstuję cię kleikiem cebulowym.

- Tak mnie przeraziłaś, że nawet się nie uśmiechnę.

- Trzymam cię za słowo. - Carly była zadowolona. - Stałam przed tym sklepem warzywnym i byłam głodna, więc wzięłam sobie jedną pomarańczę.

- To raczej kradzież, a nie zakłócanie porządku.

- Chciałam za tę pomarańczę zapłacić, ale zanim się zorientowałam, co najmniej dwieście pomarańczy potoczyło się na sam środek ulicy.

Jackowi drgnęły usta.

- Miasto pachniało pomarańczami przez cały tydzień - Carly jeszcze niczego nie zauważyła.

Jack dusił w sobie śmiech.

- Ani mi się waży... - zaczęła.

Za późno. Jack wybuchnął śmiechem. Wyobraził sobie Carly biegnącą po głównej ulicy miasta i zbierającą pomarańcze. To było silniejsze od niego. Śmiał się tak, że gardło jeszcze bardziej go rozboleło, aż Carly, zrazu niechętnie, w końcu jednak też śmiała się razem z nim.

- Dobrze, że przynajmniej mój śmiech jest zaraźliwy - stwierdził Jack, kiedy wreszcie mógł się odezwać.

- Może chciałam rozśmieszyć umierającego?

- A nie przyszło ci czasem do głowy, że nie jesteś taka odporna na mnie, jak ci się wydaje?

W końcu jednak się zdrzemnął. Carly nie mogła sobie znaleźć miejsca. Odkurzyła meble, poukładała przepisy kulinarne w porządku alfabetycznym, nawet popatrzyła sobie na śpiącego Jacka. Potem napisała list do matki, uporządkowała buty na stojaku i znów popatrzyła na Jacka.

Na kuchennym stole stał talerz z kopytkami dla Elliota. Jack miał mu je zanieść, ale się rozchorował, a to oznaczało, że Elliot nie dostanie swego ulubionego dania. Chyba że...

Carly nic chciała łamać zasad, na które sama się zgodziła, ale tym razem nie miała wyjścia. Zwłaszcza że Jack nic by o tym nie wiedział.

Raz jeszcze sprawdziła. Jej opiekun spał mocno, więc cichutko wymknęła się z domu z talerzem pełnym kopytek.

Nie zdążyła zadzwonić do drzwi, kiedy Elliot jej otworzył.

- Co za niespodzianka - powiedział.

- Przecież to dzień kopytkowy. - Carly wręczyła mu talerz.

- Myślałem, że całkiem o mnie zapomniałaś. W ogóle cię nie widuję.

- Wiem i bardzo mi przykro z tego powodu. Ale nic zapomniałam o tobie. Widzisz, przyniosłam ci kopytka.

- A mnie się wydaje, że myślisz tylko o tym swoim kuzynie. Dla nikogo więcej nie masz czasu.

- On niedługo wyjedzie - zapewniła Carly. - Obiecuję.

- Obiecałaś mi, że pozwolisz sobie pomóc przy robieniu kopytek - przypomniał drżącym z emocji głosem. Oddał jej talerz. - Liczą się czyny, a nie słowa.

Carly stała jak oniemiała przed zamkniętymi drzwiami. Elliot dosłownie zatrzaskał je przed jej nosem.

- Elliot - prosiła. - Otwórz. Wszystko ci wytłumaczę.

On jednak nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień, bo nawet przez zamknięte drzwi nie odezwał się do niej.

Sprawiłam mu przykrość, pomyślała Carly. Tak samo jak Almie. Skrzywdziłam dwoje wrażliwych ludzi, którzy nieprędko mi przebaczą, że tak nagle ich porzuciłam.

Postawiła talerz z kopytkami przed drzwiami Elliota. Miała nadzieję, że je zabierze, zanim zdążą się do nich dobrać karaluchy.

Wróciła do domu. Cichutko zamknęła za sobą drzwi. Niestety, Jack już nie spał.

- Gdzieś ty się podziewała? - warknął.

- Myślałam, że śpisz - bąknęła zaskoczona.

- No jasne. - Jack usiadł, choć sprawiło mu to wiele trudu. - Nieźle to sobie wykombinowałaś. Specjalnie mnie uśpiłaś, żeby...

- Nie mam ochoty słuchać twoich kazań - przerwała mu.

- Byłam u Elliota. On...

- U Elliota! - Na białych policzkach Jacka pojawiły się czerwone plamy. - Poszłaś do Elliota? Zupełnie sama?

- I jak widzisz, przeżyłam.

- Tym razem ci się udało. Mój nos mi mówi, że ten facet w czapce z szopa oznacza nieliczne kłopoty. Elliot jest głównym podejrzanym na mojej liście.

- W tej sprawie na pewno się mylisz. I twój nos też. Elliot to miły, samotny człowiek z problemami.

- Większość szalonych morderców to mili, samotni ludzie z problemami - mruknął Jack. - Zresztą nie w tym rzecz. Złamałaś zasadę, na którą sama się zgodziłaś.

- Ty i te twoje zasady! - zirytowała się Carly. Była wściekła na niego za to, że zniszczył jej życie. Na siebie też była wściekła. Za to, że mu na to pozwoliła. - Przez te twoje zasady straciłam najlepszą przyjaciółkę i dobrego sąsiada.



który jest taki niebezpieczny, że zimą oskrobuje lód z szyb  
mojego samochodu, a w lecie hoduje na balkonie cykorię.  
Dla mnie.

Wybiegła do kuchni. Wyjęła z lodówki piwo i torebkę  
chipsów. Piwo wylała do zlewu, a chipsy wyrzuciła do kosza  
na śmieci. I nic ją nie obchodziło, co na to powie Jack.

W końcu to on pierwszy zaczął. Obraził jej klientkę, pobił  
klienta, ją samą zakuł w kajdanki i pozbawił przyjaciół. Co  
jeszcze mógłby jej zrobić?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Podjeżdżając do stojącej na odludziu willi Winsettów, Jack pocieszał się, że zostało mu już tylko kilka dni tej podłej służby.

Do starego domu z cegły wiodła droga wysadzana z obu stron wiekowymi cedrami. Noc była ciemna, bezksiężycowa.

Kiedy wysiadał z samochodu, potknął się o korzenie wielkiego krzaku róży. Wydostały się spod kostki, którą wybrukowano podjazd. Jakby chciały go zatrzymać, nie pozwoliły mu wejść do domu.

Nastrój grozy nie opuścił Jacka nawet wówczas, gdy wszedł do wielkiej, jasno oświetlonej kuchni. Przeklinał się w duchu za to, że po raz kolejny pozwolił Carly postawić na swoim.

Wszystko przez to, że za często patrzył w jej błękitne oczy. "tylko dlatego zgodził się, żeby wysiadła przy frontowych drzwiach tego domu, podczas gdy on zajechał samochodem pod drzwi kuchenne, zamierzając tamtędy wnieść przygotowane na ten wieczór potrawy.

Właściwie nie było w tym nic złego, bo zanim pozwolił jej wyjść z samochodu, dokładnie sprawdził i dom, i ogród. A jeszcze wcześniej „prześwietlił” Nilesa Winsetla, który okazał się emerytowanym biznesmenem. Nigdy nie miał żadnych kłopotów z psychiką ani też nie kontaktował się z profesorem Winnifieldem.

Jack nie powinien się niepokoić, ale był przemęczony i dlatego tak dziwnie na wszystko reagował. W nocy prawie nie spał, zastanawiając się nad tym, czy kolendra może poprawić smak marynaty. Miesiąc temu nic w ogóle nie wiedział o istnieniu czegoś takiego jak kolendra, nie miał pojęcia, że można marynować mięso przed upieczeniem, a teraz nie potrafił przestać o tym myśleć. Chociaż gdyby stać go było na szczerłość przed samym sobą, wiedziałby, że nie myślał ani o kolendrze, ani o marynacie, tylko o Carly.

Rzeczywiście chyba za ostro ją potraktowałem, pomyślał. A z tymi kajdankami stanowezo przesadziłem. Alma wciąż się do niej nie odzywa, a Elliot nie zostawia pod drzwiami swojej gazety. Nic dziwnego, że Carly uważa mnie za potwora.

Jack wcale nie chciał jej unieszczęśliwić. Stało się to całkiem niechcący. Ta kobieta pociągała go i dlatego się irtował. Z każdym dniem było mu coraz trudniej zachować wobec niej dystans, którym tak bardzo się chlubił. Zwłaszcza teraz, gdy mieszkali sami, bez Almy w roli przyzwoitki.

Na szczęście w poniedziałek będzie już po wszystkim, westchnął. Carly złoży zeznania przed sądem, a ja polecę do Waszyngtonu.

Jack zdjął kurtkę, powiesił ją na wieszaku i spojrzął na zegarek. Minął kwadrans, odkąd wysadził Carly przed domem.

Powiedziała, że musi uzgodnić z tym Winsettem kilka drobiazków, a tymczasem ciągle jej nie ma, myślał rozgorączkowany. Może ten facet wcale nie jest taki niegroźny, jak mi się zdawało? A jeśli jego szarmanckie zachowanie w kawiarni to część chytrego planu? Może...

Zanim na dobre wyobraził sobie wszystko, co najgor-

sze. przedmiot jego obaw w doskonałym humorze wpadł do kuchni i natychmiast podbiegł do zlewozmywaka.

- Co to jest? - zapytał poblady Jack.

- Co takiego? - zapytała Carly. nie przerywając mycia rąk.

- Co ty masz na sobie?

Carly wytarła ręce i z widoczną przyjemnością wygładziła bardzo krótką spódniczkę.

- Kostium. - Określiła się dookoła. - Jak wyglądam?

Jack patrzył na czerwoną bluzkę z głębokim, odsłaniającym ramiona i dużą część biustu dekoltem, na czarną spódniczkę, która ledwo osłaniała pośladki Carly. W domu tego nie zauważył, bo wyszła z sypialni ubrana w płaszcz. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego.

- Jak Lady Godiva bez konia - prychnął. - Co to za kostium. Carly? Może mi łaskawie wyjaśnisz, o co tu chodzi.

- Nie powiedziałam ci, że to będzie coś w rodzaju balu kostiumowego? - Doskonale udała zdziwienie. - Dziś jest piętnasta rocznica ślubu Winsettów. Z tej okazji wydają przyjęcie, na którym popełnione zostanie morderstwo. Oczywiście to tylko zabawa. Każdy z gości ma do odegrania jakąś rolę. Zaczyna się od tego, że pani Winsett, która gra ofiarę, umiera po pierwszym daniu. Podczas obiadu ujawniane są kolejne fakty, aż wreszcie przy deserze zagadka zostaje rozwiązana.

- Żartujesz.

- Ja jestem Colette. - Carly uśmiechnęła się do Jacka. - Jestem francuską gwiazdą kina porno, udającą pokojówkę po to, żeby wreszcie spotkać się z kobietą, która porzuciła mnie zaraz po urodzeniu. Ta kobieta jest teraz znaną lekarką. Kieruje światowej sławy kliniką, w której leczy się bezpłodność.

- A więc ty także dostałaś swoją rolę? - zapytał Jack z przekąsem.

- *Out* - odparła z najgorszym francuskim akcentem, jaki przyszło mu kiedykolwiek słyszeć.

- I tylko to będziesz miała na sobie? - Jack nie mógł oderwać oczu od tego wszystkiego, czego nie zakrywało skąpe odzienie Carly.

- Och, byłabym zapomniała... - Z kieszonki maleńkiego fartuszka wyciągnęła czerwoną kokardkę i wpięła ją sobie we włosy. Stanąła przed lustrem, ołówkiem do brwi przyczerśniła pieprzyk na lewym policzku. - Tak, teraz jest znacznie lepiej.

Jack nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać, a może zarzucić na Carly swoją kurtkę.

- *Bonjour* - mizdrzyła się Carly. W jej ustach brzmiało to jak „bandžo”. Otarła się o niego prawie nagim ciałem.

- Mam na imię Colette, a pan jest...

- *Wściekły* - dokończył Jack. - Dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedziałaś?

- *Żle!* - Wyjęła z kieszonki karteczkę. - Ty jesteś Humphreym, nieszczęśliwym lokajem. Cierpisz na kleptomanię, dlatego często okradasz swoich pracodawców i ich gości.

- Chcesz, żebym też brał udział w tej bzdurze?

- To należy do naszych obowiązków służbowych. - Carly wsunęła karteczkę do kieszeni jego marynarki i poklepała ją delikatnie. - Szkoda, że nie widziałeś pani Winsett. Ma cudowną niebieską suknię wyszywaną cekinami, a do tego niebieskie pantofelki na niebotycznych szpilkach. Skręciłaby sobie kark, gdyby się potknęła.

- To chyba nie ma znaczenia, skoro i tak po pierwszym daniu będzie martwa.

- Rzeczywiście. - Carly zabrała się do rozpakowywania przywiezionych produktów. - Postaraj się nie potknąć o jej

ciało, kiedy będziesz podawał kolejne dania. I pamiętaj o wskazówkach.

- O jakich znowu wskazówkach? - jęknął Jack. Nie mógł myśleć o niczym oprócz Carly, która kręciła się po kuchni.

- Po każdym daniu dostajemy nowe wskazówki. Podajesz je na srebrnej tacy Nilesowi, który odgrywa rolę pułkownika Lippy.

- Co to za pułkownik?

- To nic żaden pułkownik, tylko Niles Winsett przebrany za pułkownika. Pani Winsett jest żoną pułkownika Lippy.

- To ta, która zostaje zamordowana - przypomniał Jack, żeby Carly nie pomyślała sobie czasem, że nie pamięta szczegółów tej gry.

- Ta sama. Została otruta sosem do pieczenia. Pozostali goście mają przypisane role zawodowego gracza w golfa, aktorki filmowej, pisarza, znanej lekarki. Ale o tym już ci mówiłam...

- Naturalna matka Colette. - Jack skorzystał z okazji, żeby pochwalić się dobrą pamięcią.

Carly skinęła głową i dygnęła. Pochyliła się przy tym, ukazując całkiem nagie ramiona.

Jack nie wytrzymał. Podciągnął tę jej wydekoltowaną bluzkę o jakieś pięć centymetrów do góry.

- Co ty wyprawiasz? - zaprotestowała.

- Mam na imię Humphrey - warknął. - Jeśli będziesz tak dygać w jadalni, to wszystko od nzo stanie się jasne. W każdym razie to, co dotyczy ciebie, mademoiselle Colette.

- Cudownie - roześmiała się Carly. Delikatny rumieniec zabarwił jej policzki. - Jesteś idealnym Humphreym. Ten głos. to spojrzenie. Wspaniale zaciskasz zęby, kiedy mówisz.

- Może ten Humphrey nie jest wcale taki, za którego go uważają. - Jack chwycił ją mocno za nagie ramiona. - Może

wcale nie jestem lokajem, tylko zaginionym... - Od dawna go do niej ciągnęło, a teraz wreszcie miał ją tuż przy sobie, prawie naga. W ostatniej chwili się opanował. Zdołał z honorem wycofać się na bezpieczną pozycję. - Może ja jestem bratem Colette? - dokończył. - Od lat szukam po całym świecie mojej ukochanej siostry, żeby móc jej dać to, na co najbardziej zasługuje: spokój i ciszę klasztornej celi.

- Bratem? - Carly nie była zadowolona.

- No to może wujkiem. - Jack wzruszył ramionami.

- A nie lepiej kochankiem? - mruknęła, ocierając się o niego. Zrobiła to specjalnie. - Mężczyznę, który śni mi się po nocach, o którym bez przerwy myślę na jawie. Tęskniłam za tobą, *mi amore*.

- To po włosku, nie po francusku.

Carly tylko wzruszyła ramionami i zarzuciła Jackowi ręce na szyję.

- Colette spędziła kilka lat na północy Włoch. Studiowała rzeźby i obrazy wielkich mistrzów. - Carly uśmiechnęła się tajemniczo. - Szukała mężczyzny, który niegdyś skradł jej serce.

Jack zacisnął zęby. Musiał pamiętać, że ona tylko udaje, bo jest aktorką, i że to tylko próba generalna. To wszystko robiła i mówiła Colette, gwiazda filmów porno, zawodowa kokietka, a nie Carly Westin, kucharka, oszustka, świadek, którego miał pod opieką. To Colette go dotykała, i prowokowała, a nie Carly!

- No cóż - powiedział. - W końcu ten Humphrey jest kleptomaniem. Biedak nic na to nie może poradzić.

- Mam nadzieję - mruknęła Carly.

Jack spojrzał na jej rozchyłone usta. Miękkie, wilgotne... Starał się nie myśleć o tym, jak wspaniały mają smak. Poczuł,

że dłoń Carly wsuwa się pod jego marynarkę, układa się w okolicy serca. Prawie przestał oddychać.

- Czy tylko serca kradniesz, Humphreyu? A może także pocałunki?

- Pocałunki, *mademoiselle*? Obawiam się, że nie rozumiem.

- Wobec tego muszę ci pokazać, o BO mi chodzi. - Zalotnie zatrzepotała rękami. - Chodź do mnie, *por favor*.

- To po hiszpańsku, moja słodka Colette. - Jack pochylił się nad nią. - Na szczęście ja też jestem poligłotą.

- Do tego nie będzie potrzebne tłumaczenie - szepnęła. - To międzynarodowy język.

- Carly - jęknął Jack. Przytulil ją do siebie i pocałował. Teraz już nic się dla niego nie liczyło. Ani przyjęcie, ani nawet jego własne surowe zasady. Przeszłość i przyszłość też przestały mieć znaczenie. Ważna była tylko ta zawieszona w czasie chwila.

Ale przecież byli w obcej kuchni. To prawda że sami, lecz w każdej chwili ktoś mógł wejść. Jack pierwszy się opanował. Odsunął Carly od siebie, tylko odrobinę, ujął jej twarz w obie dłonie. Widział płonące w jej oczach pożądanie.

- I co dalej? - wyszeptał.

Carly z trudem chwytała oddech. Cały jej plan diabli wzięli. Zresztą dopiero teraz, zrozumiała, że plan od samego początku był idiotyczny, nie miał szans powodzenia. No bo co z tego, że Jack ją pocałował, skoro ona nie miała ani siły, ani tym bardziej ochoty robić mu z tego powodu wyrzutów. Już nie chciała się na nim odgrywać, nie chciała nawet, żeby ją za cokolwiek przeproszał. Pragnęła jego i tylko jego. Przeraziła się.

- Musimy porozmawiać - oświadczyła.

Niles Winsett wybrał sobie właśnie ten moment, żeby



wejść do kuchni. W końcu miał do tego pełne prawo. To była jego kuchnia.

- Goście już są - oznajmił. Podszedł do stołu, na którym pyszniły się półmiski z przystawkami. - Co za wspaniałości. Kiedy zaczniecie podawać?

Carly chciało się wyć. To była prawdopodobnie najważniejsza chwila w jej życiu, a ten facet ośmielał się przeszkadzać.

W porę przypomniała sobie, że klient zawsze ma rację.

- Kiedy tylko pan zechce - powiedziała. - My jesteśmy gotowi. Jack może zaraz wnieść tace z potrawami.

- Nie żaden Jack, tylko Humphrey - poprawił ją Niles. Stanął na baczność, cichutko brzęknęły medale na jego mundurze. - Ty jesteś Colette, a ja pułkownik Lippy. Wszyscy musimy dobrze odegrać swoje role, bo inaczej przyjęcie się nie uda.

- Właśnie robiliśmy próbę - oznajmił Jack, poprawiając przekrzywioną muszkę. - Carly świetnie opanowała rolę Colette.

- Doskonale - ucieszył się Niles. - Jak to mówią: "ćwiczenie" czyni mistrza. A ja i moja żona oczekujemy od was mistrzostwa. Jesteśmy bardzo dumni z naszych przyjęć z zagadką kryminalną.

Carly wyłożyła pudding na półmiskach. Musiała czymś zająć ręce, żeby nie dotykać nimi Jacka. Dla dobra firmy, a może nawet dla własnego zdrowia psychicznego.

- Jedzenie na pewno będzie państwu smakowało - zapewniła. - Tradycyjna angielska kuchnia.

- Wspaniale, Colette - pochwalił Niles. - A wskazówki? Czy dałaś je Humphreyowi?

- Mam je tutaj. - Carly pokazała leżące na kredensie białe koperty.

- Są ponumerowane - pouczył Jacka Niles. - Zepsułybyś całą zabawę, gdybyś mi je podał w niewłaściwej kolejności.  
- Na szczęście umiem liczyć - mruknął Jack.  
- Wobec tego zaczynamy - oznajmił Niles. - Możecie podawać. Tylko proszę, żebyście pamiętali o swoich rolach.  
- *Oui, monsieur* - odparła Carly tą swoją paskudną francuszczyzną.

- Co ona powiedziała? - zapytał Niles.  
- Colette chciała zapewnić, że panujemy nad sytuacją, proszę pana. - Jack skłonił się jak prawdziwy lokaj.

Oby to była prawda, pomyślała Carly.

- To dobrze, bardzo dobrze... - Niles rozejrzał się po kuchni, jakby czegoś szukał. - Wobec tego podawaj, Humphrey. Tylko żeby wszystko było w idealnym porządku. Chcę, żeby moja kochana Marguerite była zadowolona. W końcu pozwoliła mi się zamordować z okazji piętnastej rocznicy naszego ślubu. Chociaż wolałbym, żeby dała się zasztyletować albo chociaż udusić, aniżeli tak zwyczajnie otruć.

Gdy gospodarz wyszedł z kuchni, Carly wytarła z twarzy Jacka ślady szminki. Ręce jej się trzęsły.

- Zimno ci? - spytał Jack, spoglądając znacząco na skąpe odzienie Carly. - Może lepiej nie wychodź z kuchni. Tu przynajmniej jest ciepło.

- Czy to rozkaz? - Wcale nic było jej zimno, ale cieszyła się, że Jack tak uważał.

- Owszem. - Wiedział, że to prowokacja, ale tym razem nie chwycił przynęty. - Pamiętaj, że moja rola polega przede wszystkim na tym, żeby cię strzec. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek cię skrzywdził.

- Nic mi nie grozi - skłamała, patrząc w stalowe oczy największego zagrożenia z jakim się dotąd spotkała.

- Oliver Winston Hodges III i jego mali przyjaciele też

nie wydawali mi się groźni. - Jack się do niej uśmiechnął.  
- Ale jak wiesz z własnego doświadczenia, niebezpieczeństwo zwykle pojawia się wtedy, kiedy się go najmniej spodziewamy.

- Nie cierpię szcurków. - Carly się wzdrygnęła.

- Wiem. - Jack byłby ją przytulił, ale ręce miał zajęte, trzymał w nich bowiem tacę z przystawkami. - Pamiętaj, że szcuchy występują w różnych postaciach i rozmiarach.

Wyszedł z kuchni. Pierwszą osobą, jaką zobaczył w jadalni, był profesor Chester Winnifield.

Carly stała pośrodku pustej kuchni. Rozcierała nagie ramiona. Drżała jak liść i nie mogła się uspokoić. Zupełnie nie rozumiała, co się z nią dzieje.

Odgłos tłukącej się porcelany, brzęk metalowej tacy uderzającej o podłogę i ciężki łomot walących się na podłogę ciał dały jej odpowiedź, jakiej sobie nie życzyła.

- Jack - jęknęła.

To przez niego mam tyle kłopotów, pomyślała. Przez tego nadopiekuńczego, wielkiego niezdarę. Jak ja się mogłam w nim zakochać?

A przecież wcale nie chciała się zakochiwać i na pewno nie w Jacku. Owszem, marzyła o tym, żeby się kiedyś zakochać, ale dopiero wtedy, kiedy jej firma zacznie dobrze prosperować. I na pewno nie w takim neandertalczyku, tylko we wrażliwym i dobrze wychowanym mężczyźnie.

Ale nie w Jacku Branniganie, który zakuł ją w kajdanki, wygłaszał całą litanię zasad przy każdej okazji, a za kilka dni miał na zawsze wyjechać z Boise. No i zagrażał jej ukochanej firmie.

Nie namyślając się dłużej, wybiegła z kuchni.

- Ty łamago! - darł się jegomość z kozią bródka.. Siedział na podłodze, ścierając z marynarki sos do pieczeni.

Jackowi huczało w głowie. Nie wiedział, skąd wziął się tu Winnifield. Powinien teraz siedzieć w celi. a nie przychodzić na przyjęcie do willi znajdującej się na obrzeżach Boise. I pod żadnym pozorem nie wolno mu się zbliżać do Carly!

Gdy tylko go zobaczył, odruchowo sięgnął po ukryty pod marynarką pistolet. Dopiero wtedy zauważył, że połowa wąsów profesora zwisa nienaturalnie i że oczy za okularami nie są brązowe, tylko ciemnozielone.

- Ty imbecyлу! - wrzeszczał śmiertelnie obrażony gość. Sztuczne wąsy całkiem odpadły. - Zniszczyłeś mój najlepszy garnitur. No i oczywiście pierwsze danie.

- Kim pan jest? - zapytał Jack, rezygnując z demonstrowania broni. Przynajmniej na razie.

- I jaki bezczelny! - wściekał się gość. - Jestem profesorem Chesterem Winnifieldem.

Jackowi mróz przeszedł po plecach.

A więc ten człowiek nie tylko przebrał się za Winnifielda. ale jeszcze twierdzi, że jest nim naprawdę, pomyślał. To przyjęcie z każdą chwilą staje się coraz bardziej makabryczne.

- Nie rozumiem, jak pan może tolerować w swoim domu taką impertynencję służby, pułkownika. - Fałszywy profesor zwrócił się do Nilesa

- Sos! -jęknął Niles, widząc rozlany na podłodze płyn. - Wszystko przepadło! - Chwyił Jacka za rękaw i patrzył na niego przerażony. - Moja żona umiera z tęsknoty za tym sosem. I co my teraz poczniemy. Humphreyu?

Jack doskonale wiedział, co ma zrobić, co z całą pewnością zrobić powinien. Powinien jak najszybciej zabrać Carly z tego domu wariatów. Najlepiej natychmiast. Ci ludzie nic

tylko bawili się w morderstwo, ale jeszcze przebiali się za morderców.

- Humphrey? - nie ustępował Niles. - Czy możesz nam coś zaproponować?

Carly wpadła do pokoju jak bomba.

- Co się stało... - Zamilkła na widok rozlanego sosu. Potem zauważyła brudną marynarkę mężczyzny przebranego za profesora Winnifielda. Zawodowy uśmiech zniknął z jej pobladłych warg. - Co tu się dzieje? - szepnęła.

- To chyba oczywiste - warknął fałszywy profesor. - Ten niezdarny lokaj postanowił podać mi pierwsze danie. Niestety, zamiast mieć je w żołądku, mam je na ubraniu.

- Sos do pieczeni! - jęknęła Carly. Dopiero teraz zorientowała się, że ten mężczyzna tylko udaje Winnifielda.

- No właśnie. - Niles nerwowo składała ręce. - Nasz sos do pieczeni. Sos, za który moja najdroższa żona dałaby się zabić. Mam nadzieję, Colette, że zostało ci jeszcze trochę tego sosu, bo jeśli nie, to pożałujesz, że się urodziłaś.

Właściwie pieczeń można by zjeść bez sosu, choć byłaby trochę mniej soczysta, ale od tego sosu zależało powodzenie przyjęcia z zagadką kryminalną. Jeśli nie będzie sosu, nie będzie morderstwa. Jeśli nie będzie morderstwa, przyjęcie się nie uda. A jeśli przyjęcie się nie uda, Carly nie dostanie żadnego zamówienia.

- Wracamy do kuchni, Colette. - Jack pociągnął ją za sobą. - Trzeba podać państwu sos do pieczeni.

Zdziwiła się. Wiedział tak samo dobrze jak ona, że nie ma już ani kropli sosu. Zresztą, sądząc z wyrazu twarzy Jacka, było mu to najzupełniej obojętne. Zrozumiała, że jeśli teraz pójdzie z nim do kuchni, to już nigdy nie zobaczy Nilesa Winsetta ani obiecane zamówienia na przygotowanie następnego przyjęcia.

- Puść mnie, Humphreyu, bardzo cię proszę. - Zdołała mu się wyrwać. Uśmiechnęła się do wpatrzonych w nią gości. Usiłowała naprędce wymyślić coś, co mogłoby uratować sytuację. Wymyśliła. - To wyjątkowa receptura. Potrzeba do niej rzadkich ziół, które można kupić tylko w jednym malutkim sklepiku w samym centrum Paryża. Zostało mi ich akurat tyle, żeby przyrządzić tę jedną porcję.

Niles Winsett jęknął.

- Tak mi przykro - wygłupiała się Carly. - Jestem pewna, że sos udał mi się wyśmienicie. Prawda, pani Lippy?

Oczy zebranych zwróciły się na panią Winsett.

- Specjalnie przyszła pani do kuchni, żeby go spróbować - improwizowała Carly. - Kazała mi pani dodać odrobinę pieprzu.

- Tak, rzeczywiście, teraz sobie przypominam. - Pani Winsett wciąż nie rozumiała, w czym rzecz. A przecież tylko od niej zależało, czy zechce uratować swoje przyjęcie i przyszłość Delicji Carly.

- Dlaczego pani jest taka blada? - Carly musiała skłonić panią Winsett do właściwego w tej sytuacji zachowania. - Żle się pani czuje?

- A więc przynajmniej spróbowałaś tego sosu! - Niles aż klasnął w dłonie z uciechy. - Rzeczywiście, kochanie, wyglądasz okropnie.

- Tak, masz rację. Bardzo źle się czuję. - Pani Winsett wreszcie pojęła, o co im chodzi. - Coraz gorzej. To się zaczęło zaraz po tym, jak skosztowałam sosu. Umieram... - Zachwiała się, z jękiem osuwając się na podłogę.

Carly odetchnęła z ulgą. Udało jej się przebrnąć przez pierwszą przeszkodę.

- Humphreyu! - zawołał Niles. - Moja żona została per-

fidnie zamordowana. Nikt nie opuści tego domu, dopóki nie znajdziemy mordercy.

- Twoja kolej - szepnęła Carly Jackowi do ucha. - Podaj mu pierwszą wskazówkę.

Jack zacisnął zęby. Najchętniej by uciekł z tego domu, lecz ona nie mogła mu na to pozwolić.

- Proszę cię, Jack - błagała cichutko, żeby nikt nie usłyszał.

Odwrócił się, wziął ze stolika małą srebrną tacę i położył na niej kopertę oznaczoną jedyneką.

- Pierwsza wskazówka - mruknął, podając ją Nilesowi.  
- Proszę szybko to przeczytać. Chciałbym już wiedzieć, kto zabił moją panią.

Carly znów odetchnęła z ulgą.

- A więc ona była twoją kochanką! - zawołał fałszywy profesor. - Widzę, że mamy już pierwszego podejrzanego. To pułkownik! Czy wiedziałeś, że twoja żona zdradza cię z lokajem?

Carly jęknęła w duchu. Z tego wszystkiego zapomniała powiedzieć Jackowi, że gościom wolno improwizować.

- Nie do wiary! - zawołał Niles. - Od jak dawna byliście kochankami. Humphrey?

- Proszę się nic wygłupiać - odparł Jack. - Nie mam romansu z pańską żoną.

- Już nie - odezwał się gość ubrany jak do gry w golfa.  
- Ona nie żyje. Albo ty ją zabiłeś, albo zrobił to ktoś, kto był o nią zazdrosny.

Carly miała powody do zadowolenia. Przyjęcie się rozkręcało. Pani Winsett grająca pułkownikową Lippy szczęśliwie umarła i wszyscy zapomnieli o rozlanym sosie. A najważniejsze, że Jack jeszcze nikogo nie pobił.

- Jak pan śmie mnie oskarżać! - Niles zerwał się na rów-

ne nogi i podszedł do gracza w golfa. - Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo kochałem moją żonę.

- No właśnie - odparł nie zrażony gość. - Dlatego nie mógł pan znieść myśli o tym, że oddała się innemu mężczyźnie.

- Zazdrość to poważny motyw - wtrąciła się Carly.

- Zna się pani na ludziach, *mademoiselle*. - Fałszywy profesor uśmiechnął się do Carly. - Zazdrość sprawia, że ludzie zdolni są do wszystkiego. Gotowi nawet posunąć się do morderstwa.

- Mógłby nam pan to dokładniej wytłumaczyć? - Jack spojrział groźnie na fałszywego profesora.

- Nikt nie będzie rozwiązywał zagadki kryminalnej o pustym żołądku. - Carly położyła dłoń na ramieniu Jacka. Bala się, żeby nie zaczął kolejnej awantury. - Podajemy następane danie, Humphreyu.

- Najpierw chciałbym się dowiedzieć, co profesor Winifield ma do powiedzenia na ten temat - upierał się Jack.

- My tu pracujemy, a nie odgrywamy główne role - szepnęła Carly. - Wracaj do kuchni i siedź cicho, bo inaczej nas wyleją.

- Dobrze zrobisz, jeśli posłuchasz swojej ślicznej Francuzeczki. młody człowieku - mądrzył się fałszywy profesor. Podszedł do Carly, obejrzał ją sobie i oblizał się zmysłowo. - Co za cudowne stworzenie. Jakby ją zrobiono z wanilii, cukru i słodkiego lukru.

- Dość tego! - Jack chwycił go za poły marynarki. - Jest pan aresztowany.

- Humphreyu! - krzyknęła przerażona Carly.

- Jeszcze nie! - Niles walnął pięścią w stół. - Nie możesz go teraz oskarżyć o zamordowanie mojej żony. Nie przeczyliśmy jeszcze pierwszej wskazówki.



Goście przyłączyli się do protestu gospodarza. Jeden z nich nawet zażądał od Carly, żeby natychmiast pozbyła się swojego asystenta.

Nagle zrobiło się bardzo cicho. Jack wyciągnął spod marynarki służbowy pistolet.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Zabieram ci tę sprawę - powiedziała Violet Speery, gdy tylko Jack przekroczył próg jej gabinetu.

Brannigan stanął jak wryty. Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie słów pani prokurator.

- Ten fałszywy Winnifield się przyznał?

- Zamknij drzwi.

Jack trzasnął drzwiami i podszedł do biurka.

- Wiedziałem! - Zacisnął pięści. - Jak tylko zobaczyłem tę gnidę, od razu się domyśliłem, że to on wysyła do Carly anonimy.

Spojrzał na kwaśną minę Violet. Gdyby nie znał jej tak dobrze, mógłby pomyśleć, że mówiła poważnie o tym, że zabiera mu tę sprawę.

- Ta gnida jest prezesem Banku Wschodniego- oznajmiła Violet. - Hubert Hagerty to spokojny, uczciwy obywatel. Cały swój wolny czas poświęca hodowli rasowych szpiców i tak się składa, że jest jednym z głównych sponsorów mojej kampanii wyborczej. Chociaż właściwie, mówiąc to, powinienam użyć czasu przeszłego.

- Odkąd to pieniądze chronią człowieka przed sprawiedliwą karą? - Jack rozsiadł się na fotelu naprzeciwko Violet.

- Policja nie znalazła najmniejszego dowodu przeciwko temu człowiekowi. Absolutnie niczego, co mogłoby świadczyć o tym, że Hagerty wysyłał anonimy do panny Westin.

- Tylko mi nie mów, że go wypuścili - zaniepokoił się Jack.

- Dziesięć minut temu. - Violet pozbawiła go wszelkich złudzeń. - Nie mieliśmy powodu, żeby go zatrzymać. Żadnego oprócz tego, co mówił ci twój nos. I chociaż może trudno ci będzie w to uwierzyć, to jednak sędziowie nie przykładają wielkiej wagi do tego rodzaju dowodów. - Westchnęła. - Schrzaniłeś robotę, Jack. Kompletnie. O czym ty w ogóle myślałeś'

Na przykład o seksie w kuchni.

Naprawdę o tym myślał, ale nie przypuszczał, żeby Violet chciała słuchać tego rodzaju opowieści. Zresztą, on też niechętnie się do tego przyznawał. Zwłaszcza przed sobą.

- Sytuacja wymagała działania. Nie mogłem narażać świadka, którego miałem chronić - tłumaczył się. - Może uznasz, że zwariowałem, ale wydało mi się podejrzane, że ten Hagerty przebrał się właśnie za Winnifielda.

- To była zabawa kostiumowa - przypomniała mu Violet. - Carly Westin przebrała się za luksusową prostytutkę, a jednak nie aresztowałeś jej za obrazę moralności

Aż za dobrze pamiętał skąpe ubranie Carly. Pamiętał, jak miło było dotykać lego, czego ubranie nie przykrywało.

Natychmiast przestań o tym myśleć, Brannigan, rozkazał. Tym razem sobie.

- Ten człowiek przedstawił się jako Winnifield - powiedział. - Na co, twoim zdaniem, miałem jeszcze czekać'. Na deser ze strzelaniną?

- Pani Winsett przez cały wieczór leżała na podłodze jak martwa, a jednak nikomu nie przyszło do głowy, żeby zadzwonić po karetkę. To była gra, Jack. Zabawa dla przyjemności. Naprawdę powinieneś tego kiedyś spróbować.

Wolał się nie chwalić dobrze odegraną rolą Humphreya. Jego bohater zbyt łatwo tracił panowanie nad sobą.

- Nie podobała mi się postać wykreowana przez Hager-ty'ego. Ani monolog, który wygłosił.

- Który monolog? Może ten: Mam zamiar oskarżyć odpowiedzialnych za aresztowanie mnie pod fałszywym zarzutem? - zapytała Violet. - A może ten drugi: Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby nigdy więcej nie wybrano cię na ten urząd, Violet.

- Raczej ten, kiedy powiedział do Carly, że jest zrobiona z wanilii, cukru i słodkiego lukru. Dokładny cytat z pierwszego anonimu. - Jack wcale się nie zmieszał. - Nie czytałaś mojego raportu?

- Owszem, czytałam, ale to nie jest żaden dowód.

- Może nie, choć musisz przyznać, że to przedziwny zbieg okoliczności. Mam nadzieję, że nie wypuściłaś Hagerty'ego tylko z tego powodu, że dysponuje zasobnym kontem bankowym. Utrata sponsora to drobiazg w porównaniu z utratą Carly.

- Przecież nic jej się nie stanie. Zresztą proces zaczyna się w poniedziałek.

- Na jakiej podstawie opierasz swoje twierdzenie, że psychopaci nie atakują w weekendy? - Jack coraz mniej rozumiał panią prokurator. - To niesłychane, Violet. Naprawdę chcesz ryzykować tylko po to, żeby zadowolić swych politycznych zwolenników?

- Nie jesteś jedynym człowiekiem zdolnym chronić pan-nę Westin - odparła pani prokurator. - Odesłałam ją do domu pod opieką Teda Simmons'a.

- Przydzieliłaś jej Śpiącego Teda? - A więc Violet nie żartowała. Rzeczywiście zabrała mu tę sprawę. - Przecież jemu oczy same się zamykają pomiędzy jedną drzemką a drugą. Był nawet w jakimś szpitalu.

- Owszem, był - potwierdziła Violet. - Tyle że nie miało to nic wspólnego ze spaniem. Ted ma kłopoty z kręgosłupem i musi spać na specjalnym materacu ortopedycznym.

- No właśnie. Z kręgosłupem też ma kłopoty.

- Jest weekend - tłumaczyła się Violet. - To najlepszy ochroniarz, jakiego udało mi się ściągnąć.

- Po co w ogóle szukałaś kogoś innego, skoro masz mnie? Jestem golów do pracy, chcę pracować i na pewno jestem lepszy od Teda Simmonsa.

Zrobiło mu się przykro, gdy pomyślał, że zarówno on, jak i Carly byli jedynie pionkami w politycznej grze pani prokurator. Zabrała mu sprawę tylko dlatego, żeby dogodzić zranionej dumie jakiegoś tam Hagerty'ego. Jack nie mógł myśleć spokojnie o tym, że Carly została bez opieki. Bez niego.

- Obawiam się, że będę musiał przedstawić tę sprawę komisji etyki - powiedział.

- Nie radziłabym ci tego robić. - Violet wcale się nie przestraszyła. - Nie sądzę, żeby zależało ci na podaniu do publicznej wiadomości szczegółów tego zajścia.

- Wszyscy wiedzą, że aresztowałem Hagerty'ego. Prasa zjawiała się w willi Winsettów na długo przed policją.

- Nic przypominaj mi o tym - westchnęła Violet. - Przez cały wieczór naprawiałam szkody, jakich narobili.

- Więc dlaczego odbierasz mi sprawę? Chcesz, żeby było jeszcze gorzej?

- Nie ja o tym zdecydowałam.

- Skoro nie ty, to kto? - Jack zerwał się z fotela. - Hagerty? Szef twojego komitetu wyborczego? A może sam Chester Winnifield wydaje rozkazy ze swojej celi?

- Carly.

Jack zachwiał się, jakby dostał cios w żołądek.

- Z nic znanych mi powodów panna Westin nie życzy sobie, żebyś ją ochraniał.

- To akurat nic nowego - mruknął Jack. - Od pierwszego dnia nie życzyła sobie, żebym ją chronił, a potem bez przerwy mi o tym przypominała. Czasami nawet trzy razy dziennie.

- A dzisiaj stanowczo tego ode mnie zażądała. Oszczędzę ci szczegółów. Powiem tylko, że nie Życzy sobie, żebyś się koło niej kręcił. Odniosłam wrażenie, że z dwójga złego woli stracić życie, niż korzystać z twojej ochrony.

Jack nic z tego nie rozumiał. Wiedział, że Carly była na niego zła z powodu kolejnej wpadki, ale przecież nie do tego stopnia, żeby wymusić na prokuratorze okręgowym przydzielenie jej niesprawnego ochroniarza.

- Zdawało mi się, że zawarłaś z Carly układ - przypomniał. - Zgodziłaś się, żeby zorganizowała ci bankiet, a ona za to zgodziła się, żebym ją ją chronił.

- Nie mogę się wycofać z układu w przeddzień bankietu - westchnęła Violet. - Żadna firma cateringowa nie zgodzi się zorganizować obiadu dla stu osób z dobowym wyprzedzeniem. Dobrze, że przynajmniej udało mi się namówić pannę Westin, aby się zgodziła na Teda.

- Ted Simmons nic nadaje się do tej pracy.

- Ty też się nie nadajesz. W każdym razie tak twierdzi panna Westin. Nie wiem, co między wami zaszło, ale wydała mi się jakby odmieniona. Gdybym cię tak dobrze nie znała, powiedziałałabym, że się ciebie boi.

- Ona niczego się nie boi. Dlatego nie mogę zrozumieć...

Ł właśnie w tej chwili przypomniał sobie, jak mu powiedziała, że kobiety Westinów zawsze stawiają na swoim. A więc i ona postawiła na swoim. Trafiła go z wyjątkową precyzją. Za jednym zamachem zepsuła mu nieskazitelną

dotąd opinie zawodową i odegrała się na nim za wszystkie doznane afronty.

Gniew go ogarnął na wspomnienie tego wszystkiego, co musiał przez nią wycierpieć. Kelnerowanie w samych spodniach, ukrywanie dowodów, a nawet grypę. Wprawdzie grypa nie dopadła go z winy Carly, lecz Jack dałby sobie głowę uciąć, że patrzenie na jego cierpienia dostarczyło tej kobiecie wiele radości.

A wreszcie wielki finał: flirt Colette z Humphreym. Czyżby to był jeden ze szczegółów, o których Violet nie chciała mówić? Czy Carly skarżyła się na jego miłosne zapędy?

Trafiła kosa na kamień, pomyślał. Dwanaście lat w fachu i taki wstyd. Żeby taka drobna, słaba kobieta jednym ciosem posłała mnie na deski! Ale jeszcze mogę się podnieść. Jeszcze mnie nie znokautowała.

- Muszę iść.

Violet chciała go zatrzymać, lecz nim zdążyła wstać zza biurka, Jack już był za drzwiami.

- Nie zbliżaj się do niej, Jack! - zawołała.

To był rozkaz, lecz Jack nie miał zamiaru go wykonać.

Cisza i spokój po północy nie były w tej okolicy czymś zwyczajnym. Syreny wyły z taką regularnością, że można by według nich nastawiać zegarki. Z mieszkań dochodziły głośne dźwięki muzyki, na ulicy przeraźliwie miauczały koty. Mimo to Carly nigdy dotąd nie miała kłopotów z zasypianiem. Tej nocy jednak nie mogła zasnąć. Wierciła się w łóżku, przewracała z boku na bok, lecz sen nie przychodził. Słuchała przeraźliwego chrapania Teda i zastanawiała się, czy aby rzeczywiście dobrze zrobiła, decydując się na starszy model ochroniarza.

Oczywiście z punktu widzenia firmy decyzja na pewno była słuszną. Delicje Carly nie mogły sobie pozwolić na jeszcze jedną imprezę z udziałem Jacka Brannigana. I tak już bardzo dużo ją kosztował. Stanowczo za wiele.

Obecność Teda gwarantowała jej całkowite bezpieczeństwo uczuciowe. Był starym poczciwcem i jeśli coś jej z jego strony groziło, to chyba tylko śmierć z nudów.

Głośne pukanie do drzwi opóźniło tę możliwość. Carly przez chwilę miała nadzieję, że to jej klienci dobijają się do niej w samym środku nocy, chcąc zapewnić, że poumierają z głodu, jeśli ona nie zacznie dla nich gotować. Albo że Elliot chce oddać talerz po kopytkach i w ten sposób nawiązać zerwaną przyjaźń. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej jednak, że nie powinna liczyć na tak wiele szczęścia. O tej porze mógł się do niej dobijać tylko jeden człowiek. Jack. I na pewno był wściekły, że w końcu go wykołowała.

Naciągnęła kołdrę na głowę. Nic nic pomogło. Pukanie nie tylko nie ucichło, ale stało się jeszcze bardziej natarczywe. Liczyła na to, że jeśli się nie poruszy, jeśli nie da znaku życia, to nieproszony gość zrozumie, że go tu nie chcą, i w końcu sobie pójdzie. Straciła i tę nadzieję, gdy pukanie przeszło w głuchy łomot. Wściekły neandertalczyk walił pięścią w drzwi, co mogło się skończyć całkowitym wybiciem ich z zawiasów.

Carly wstała z łóżka. Ted chrapał jak niedźwiedź. Może ze słuchem też miał kłopoty.

Tak jak się spodziewała, choć nie chciała się do tego przyznać, w drzwiach stał Jack. Wielki, potężny i wściekły jak wszyscy diabli.

- Żądam wyjaśnień - oznajmił bez zbędnych wstępów.
- Nie udzielam wyjaśnień osobom, które mają więcej niż metr osiemdziesiąt wzrostu. Ja też mam swoje zasady.



- Może mi nie uwierzysz, ale dziś mam ochotę łamać wszelkie zasady. - Patrzył na nią tymi swoimi szarymi oczami. - Zaprosisz mnie do środka, czy wolisz, żebyśmy sobie spokojnie i bez świadków porozmawiali na korytarzu?

Carly wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi od mieszkania. Bała się, że jeśli wpuści Jacka, to już nie zdoła go wyrzucić. Nie miała dość silnej woli, żeby to zrobić po raz drugi.

- Tu jest spokojniej - wyjaśniła. - Ted strasznie chrapie. Śpi na desce opartej na dwóch krzesłach. Musielibyśmy krzyknąć, żeby się porozumieć w tym hałasie.

- Dlaczego. Carly? - Spojrzył na nią z wyrzutem.

- Moim zdaniem ma skrzywioną przegrodę nosową. Choć chrapanie może być także spowodowane alergią lub polipami w nosie.

- Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi.

Oczywiście, że wiedziała, tylko nie chciała mu ułatwiać sprawy. Zwłaszcza że perspektywa życia bez niego zdawała jej się najczarniejszą wizją, z jaką kiedykolwiek miała do czynienia. Co najmniej tak potworną jak życie z nim i z jego zasadami, jak walka o niezależność i o pilota do telewizora.

- Skąd ta pewność?

- Nie udawaj głupszej, niż jesteś - poradził. - Jesteś sprytna, Carly. Sprytna i mądra. Zwłaszcza gdy chodzi o twoje dobro.

- To najmiłsze słowa, jakie od ciebie usłyszałam. Tak mi rozkazywałeś przez te cztery tygodnie... Pomyślałam sobie, że uważasz mnie za kompletną idiotkę.

- Przyznaję, że cię nie doceniłem. - Zbliżył się do niej o krok.

- To się zdarza.

- Ale nie mnie. - Jack zbliżył się jeszcze o krok. I jeszcze jeden.

- Powinieneś być szczęśliwy. - Carly cofała się przed nim, dopóki nie poczuła za plecami ściany. - Nie prowadzisz już tej sprawy, więc nie będziesz musiał się ze mną morderować.

- Zapomniałaś, że mamy jeszcze coś do załatwienia?

Carly już sama nie wiedziała, czy powinna walczyć, czy może raczej paść mu w ramiona, chociaż zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że i tak już za często to robiła. Mogłaby się przyzwyczaić i w końcu wyłączyć ze złamanym sercem w Willow Grove, dokładnie tak, jak to przewidziała Alma.

- Za późno. - Carly postanowiła walczyć. - Po pierwsze, w ogóle nie powinieneś być tu przychodzić, a po drugie, nie muszę cię już więcej słuchać.

- Nigdy mnie nie słuchałaś - prychnął Jack. - I mimo twoich najszerszych chęci ja wciąż jeszcze tu jestem.

Wiedziała o tym aż za dobrze. Każdym nerwem, każdą komórką swego ciała czuła jego obecność.

- Twoje rzeczy odesłałam do biura prokuratora okręgowego. - Carly próbowała trzymać się neutralnych tematów.

- Chcę, żebyś mi się wytłumaczyła. - Tym razem Jack nie dał się oszukać. Za dobrze ją poznał. - Przynajmniej tyle jesteś mi winna.

- Jestem ci winna wyłącznie pięćdziesiąt centów. Za ten batonik, który mi kupiłeś, kiedy siedzieliśmy w komisariacie. To było zaraz po tym, jak Niles Winsett powiedział dziennikarzom, że zatrudnienie Delicji Carly było jego największym błędem, i tuż przed tym, jak mnie zamknąłeś w pokoju dla świadków.

- No to mi je oddaj.

Carly poklepała się po piżamie, jakby rzeczywiście miała nadzieję znaleźć tam jakieś pieniądze.

- Przykro mi. Zostawiłam portmonetkę w drugiej piżamie.

- To daj mi w zamian coś innego.

Serce podeszło Carly do gardła. Czyżby to była nieprzyzwoita propozycja? Może w piżamie wyglądała znacznie bardziej pociągająco, niż jej się wydawało?

- Potrzebuję informacji - oświadczył, zanim zdążyła mu odmówić. - Dlaczego zażądałaś, żeby odsunięto mnie od tej sprawy?

- Chciałam ci dać czas na spakowanie się przed wyjazdem do Waszyngtonu.

Nie dała się zastraszyć. Nie chciała powiedzieć mu prawdy. A prawda była taka, że w jego obecności robiło jej się gorąco. Dlatego musiała się pozbyć Jacka.

- Chciałaś wyrównać rachunki? Przyznaj się, Carly. Taki mały odwecik na wstępnym policjancie.

- Odwet? - Doskonale udawała zdumienie. Zresztą może naprawdę była zdumiona. Dawno zapomniała o tym, że kiedyś marzył jej się jakiś rewanż. - Nie mogę sobie pozwolić na taki luksus. Jestem zbyt zajęta uprzątnieniem bałaganu, jakiego narobiłeś w moim życiu.

- Jestem ci potrzebny. - Jack oparł się jedną ręką o ścianę i pochylił się nad Carly. - Nie tylko do pomocy w kuchni. Może tobie nie zależy na życiu, ale dla mnie ono jest bardzo ważne. Dla prokuratora i sędziego też jest ważne. Nie pozwól, żeby twój upór i duma przeszkodziły temu, co jest dla ciebie najlepsze.

- Mój upór i duma? - powtórzyła. - Ja nie wyciągam nikogo z łóżka w samym środku nocy, żeby omawiać z nim sprawy zawodowe. - Spróbowała go od siebie odsunąć. - Je-

śli chcesz wiedzieć, to wcale nie jesteś tą najlepszą, rzeczą, jaką dostałam od losu. Pragnę być wolna, chcę mieć przyjaciół i swoje marzenia.

- Bzdury gadasz. To wszystko funta kłaków niewarte, jeśli cię zabiją. Przecież wtedy nie będziesz mogła się cieszyć przyjaciółmi, marzeniami, ani nawet wolnością. Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że tu chodzi o twoje życie? Czy jestem aż takim potworem, że nie możesz znieść mojej obecności przez te dwa dni?

- Naprawdę.

- Skoro ja potrafię przymknąć oko na twoje wygłupy i dziecinne wykręty, to ty mogłabyś przebywać jeszcze czterdzieści osiem godzin pod moją opieką.

Jack mocno trzymał ją za ramiona. Jego palce paliły ciało Carly żywym ogniem. Ale wreszcie dowiedziała się, co o niej myśli. Że jest dziecinna, uparta i nie zależy jej na życiu.

- To co ty nazywasz opieką, ja uważam za powolną śmierć przez uduszenie. - Łzy popłynęły jej z oczu. Carly wcale sobie tego nie życzyła. - Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, Jack. Potrafię sama o siebie zadbać. Naprawdę. Zawsze umiałam.

- Udowodnij to. - Chwycił ją za ręce i przycisnął je do ściany.

- Nie zamierzam z tobą walczyć. - Carly pokręciła głową, choć miała wielką ochotę przynajmniej spróbować uwolnić się o własnych siłach. - Jesteś ode mnie większy i silniejszy. Ale już nie masz prawa mi rozkazywać. Wszystko skończone, Jack! Ja ciebie nie chcę!

Jack tak na nią patrzył, że zadrżała. A potem nagle, bez żadnego uprzedzenia, ich wzajemna wrogość przemieniła się w pełne napięcia oczekiwanie.

- Przekonaj mnie o tym - szepnął Jack. Pochylił się nad nią i pocałował ją namiętnie.

Carly przestała myśleć, przestała się zastanawiać. Chciała tylko czuć. Czuć bliskość Jacka, jego ciepło. Pragnęła, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Wreszcie zrozumiała, że Jack znaczy dla niej więcej niż wszyscy przyjaciele, znaczy nawet więcej niż marzenia i wolność razem wzięte. Ale przecież nie mogła się poniżyć, nie mogła prosić Jacka, żeby zechciał z nią zostać na zawsze.

- Zegnaj, Jack - powiedziała.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy Carly się obudziła, na dworze było już całkiem jasno. Spojrzała na budzik. Minęła dziewiąta, a to oznaczało, że zasnęła.

Zerwała się z łóżka. Jęknęła, ujrawszy swoje odbicie w lustrze. Z całą pewnością nie była najpiękniejsza na świecie. A to za sprawą zimnego prysznicu, który wzięła poprzedniego wieczoru, zaraz po tym, jak odprawiła Jacka. Po wyjściu z łazienki całkiem zapomniiała, że powinna ułożyć włosy. Zawsze sterczały na wszystkie strony, ale kiedy wysychały bez jej pomocy, ich wygląd wołał o pomstę do nieba.

Za trzy godziny miał się rozpocząć bankiet, którym Violet Speery zamierzała zainaugurować swoją kampanię wyborczą. Obiad dla stu najznamienitszych obywateli Boise! Carly wołała ich zadziwić swoim kunsztem kulinarnym aniżeli podobieństwem do narzeczonej Frankensteina.

Właściwie za tę katastrofę z włosami także mogłaby winić Jacka. Miała do tego pełne prawo. To przez niego weszła pod prysznic, przez niego zasnęła dopiero nad ranem i przez niego musiała zlać całe mieszkanie perfumami, żeby pozbyć się jego zapachu.

Ubierając się w pośpiechu, myślała o podłych cechach jego charakteru. Wylizowała je sobie w pamięci, jakby to była lista spraw, które koniecznie trzeba tego dnia załatwić.

Wszystko po to, żeby nie myśleć o największej jego przewinie, o tym, że ją w sobie rozkochał.

Ubrała się wreszcie, umalowała. Zdołała nawet ułożyć niesforne włosy, choć zużyła do tego prawie cały pojemnik lakieru.

Podeszła do okna. Chciała sprawdzić, czy przypadkiem nie spadł śnieg, jak to zapowiadała wczorajsza prognoza. Miała dość pracy i wcale jej się nie uśmiechało odkopywanie samochodu spod białej kołderki.

Dzień był mroźny, słoneczny, śniegu jak na lekarstwo. Na błękitnym niebie ukazała się biała smuga pozostawiona przez prujący niebo odrzutowiec.

- Żegnaj. Jack - szepnęła Carly, patrząc w ślad za maszyną, choć nie wiedziała na pewno, czy właśnie tym samolotem odleciał.

Co to za różnica, pomyślała. Jeśli nie poleciał tym, to polecą następnym. Teraz już nic go nie trzyma w Boise, a już na pewno nie ja. Dobrze, że go odprawiłam, chociaż to była najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek przyszło mi zrobić.

Otarła łzy. Wiedziała, że nie pomogą jej przygotować bankietu ani nie napełnią pustej kieszeni.

- Ted! - zawołała, wchodząc do pokoju. - Ted. obudź się.

Odsunęła zasłony. Jej nowy ochroniarz leżał rozciągnięty na desce. Wyglądał jak wielki owad przybity szpilką do gigantycznej gabloty.

- Wstawaj! - krzyknęła prosto do ucha Teda.

- Nie musisz się tak drzeć - mruknął. - Ja już chyba od godziny nie śpię.

- Dobrze się składa - burknęła. - Jeśli wszystko ma być gotowe na czas, to musimy wyjść z domu najpóźniej za pół godziny.

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe.

Carly zdrętwiała na moment, ale zaraz odzyskała pewność siebie.

- Chyba nie jesteś jednym z tych policjantów, który hołdują tysiącom niewykonalnych zasad i traktują świadka jak najgorszego przestępcę? - Nie czekała na odpowiedź. I bez tego wiedziała, że na całym świecie nie znajdzie drugiego takiego człowieka jak Jack. - Uprzedzam cię, Ted, że ani myślę się z tobą kłócić. Wyjdę z tego mieszkania, z tobą albo bez ciebie.

- Jestem jednym z tych ochroniarzy, którym wysiada kręgosłup, kiedy muszą spać na takiej krzywej desce - jęknął Ted, próbując wstać o własnych siłach. - A tobie nie wolno nigdzie samej wychodzić. Zapomniałaś, co powiedziała pani prokurator?

Tedowi udało się wreszcie dotknąć stopami podłogi. Udało mu się także wstać, choć bardzo powoli i z pomocą poręczy krzesła. Carly była bliska płaczu.

- Człowieku! Na tym bankiecie będą same ważne osoby! Nie słyszałaś, że władze miasta chcą podpisać kontrakt na obsługę oficjalnych przyjęć? Nic mogę stracić takiej okazji! Nie teraz, kiedy już wszystko inne straciłam.

- Czasami dobrze mi robi gorąca kąpiel - powiedziała Ted, patrząc na swoje nogi. - Pomóż mi dojść do łazienki, to może jakoś uda mi się rozmasować mięśnie.

Carly nie miała wyjścia. Objęła Teda i zaciągnęła go do łazienki. Zostawiła go tam i pobiegła do kuchni, żeby zapakować wszystko, co miała ze sobą zabrać. Naprawdę zostało jej niewiele czasu.

Ktoś zapukał do drzwi. Serce podeszło jej do gardła.

Czyżby Jack, pomyślała.

Nie chciała już więcej słuchać jego wymówek, że nie dba o własne życie, i tłumaczeń, że nie potrafi się bez niego.



Jacka, obejść. Przynajmniej do najbliższego poniedziałku. Gdy Carly się spieszyła, potrafiła być istną furją. Tym razem postanowiła, że zrobi coś takiego, co już na zawsze przepłószy Jacka. Na przykład powie mu prawdę.

Gotowa na wszystko, poszła otworzyć drzwi.

Brzęczenie telefonu komórkowego zbudziło go z płytkiego snu. Zbyt gwałtownie się podniósł, więc uderzył łokciem w kierownicę. Zabolało. Jego sportowy samochód był stanowczo za ciasny, żeby mógł udawać wygodne łóżko.

W jasnym świetle dnia dobrowolna warta przed domem Carly wydała się Jackowi najgłupszym pomysłem, jaki kiedykolwiek przyszedł mu do głowy. A wszystko dlatego, że wychodząc, zauważył jakiegoś podejrzanego mężczyznę czającego się za rogiem.

Jack rozprostował kości. Bolała go każda kosteczka, ale to było nic w porównaniu z bólem, jakiego doznał, gdy Carly zatrasnęła mu drzwi przed nosem.

Został sam z tym swoim nosem, który mu podpowiadał, że powinien się trzymać jak najdalej od tej kobiety. Zabrano mu sprawę, był wolnym człowiekiem i nie miał żadnych obowiązków. Ani zawodowych, ani nawet kuchennych. Mógł spokojnie wrócić do służbowego mieszkania, spakować walizkę i bez żalu wsiąść do pierwszego samolotu, jaki tego dnia odlatywał do Waszyngtonu.

Instykt samozachowawczy walczył w nim o lepsze ze zdrowym rozsądkiem. Powinien chronić Carly przed szaleńcem, ale powinien także chronić ją przed sobą. Mało brakowało, żeby zrobili coś, czego potem oboje serdecznie by żałowali. Mogli, na przykład, kochać się na korytarzu.

A przecież tak naprawdę ona wcale go nie chciała. Bo

gdyby było inaczej, nie prosiłaby pani prokurator o zmianę ochroniarza.

No i dobrze, pomyślał, właściwie całkiem zadowolony. Doskonale się składa. Zegnaj, dziecko. Od dzisiaj musisz sama sobie radzić.

Telefon brzęknął po raz czwarty. Jack przytknął go do ucha.

- Brannigan - zameldował się.
- Tu mówi Simmons. Mam pewien kłopot.
- Wiem. - Jack rozparł się w sztywnym od zimna fotelu.
- Ma na imię Carly. Życzę ci szczęścia, Ted. Będzie ci bardzo potrzebne.

- Problem w tym, że teraz potrzeba mi bardzo dużo szczęścia. Słyszałem, że ten świadek przysporzył ci sporo kłopotów, więc chciałbym zasięgnąć twojej rady.

Jack uśmiechnął się z politowaniem. Wyobrażał sobie, jak trudno było Tedowi znieść paskudny charakter Carly. No i te jej błękitne oczy. Robiła co chciała z każdym facetem, który był na tyle nieostrożny, żeby choć na chwilę spojrzeć w te oczy. Ale Ted miał za sobą czterdziestoletni staż małżeński. Po co miałby się radzić kawalera w sprawach dotyczących kobiet?

- Zawsze bądź w pogotowiu - powiedział. - To sprytna sztuka i bardzo pomysłowa. Na twoim miejscu ani na chwilę nie spuszczałbym jej z oka.

- Za późno - mruknął Ted. - Ona zniknęła.
- Zniknęła? - Jack natychmiast się wyprostował.
- Zniknęła - powtórzył Ted. - Nigdzie jej nie ma.
- Niemożliwe.

Jack obserwował ten dom od ośmiu godzin. Z dziesięciominutową przerwą na drzemkę. Jediną osobą, jaka wyszła z budynku, była pani Kolińska. Towarzyszył jej pudel. Na

pewno zauważyłby Carly. Nawet gdyby się przebrała za włóczęgę.

- Sprawdziłeś na korytarzu? - zapytał Jack. - Ona czasami nosi jedzenie sąsiadowi z naprzeciwka.

- Nie sprawdzałem. Dwadzieścia minut zajęło mi podłożenie się do telefonu - jęknął Ted. - Obawiam się, że znów mi wypadł dysk.

- Kiedy ostatni raz ją widziałeś? - Jack ścisnął telefon tak mocno, że aż palce go rozbolewały.

- Może z pół godziny temu. Pomogła mi dojść do łazienki.

- Zaraz tam będę.

- Nie trzeba, Brannigan. Nie będziesz przecież jechał przez całe miasto. Zadzwońię do Violet i powiem jej, co się stało. Mam nadzieję, że mnie nie wyleje - westchnął. - Panna Westin zagroziła, że pojedzie beze mnie, a ja jej nie uwierzyłem.

- Dla mnie to żaden kłopot - zapewnił go Jack. - Zresztą jestem akurat w pobliżu.

Nie minęły dwie minuty, jak znalazł się w mieszkaniu Carly. Przez cały czas powtarzał sobie w duchu, że nie wolno mu się spodziewać najgorszego, nie wolno zbyt gwałtownie reagować.

- Jeśli coś jej się stanie, to rozedrę cię na kawałki i nakarmię tobą kruki. Simmons - zaczął.

- Mnie też miło jest cię znów zobaczyć, Brannigan - wystękał Ted. - Leżał na podłodze obok telefonu. Był błydy jak ściana. - Mam nadzieję, że nie złamałeś przepisów. Bardzo szybko przyjechałeś.

Jack prędko sprawdził mieszkanie. Nie było widać żadnych śladów walki, zamki nie były naruszone. Na środku kuchni stało wielkie pudło, do którego beładnie wrzucono

różne przybory, które Carly zwykle zabierała ze sobą na przyjęcia. Wszystko wyglądało zwyczajnie. I właśnie to najbardziej Jacka przeraziło.

- Moim zdaniem, poszła beze mnie - stwierdził Ted.

- Coś mi tu nie pasuje. - Jack pokręcił głową.

Zajrzał do szafy. Płaszcz Carly wisiał na wieszaku, a na półeczce leżała jej torebka.

Jeszcze raz dokładnie wszystko obejrzał. Dopiero wtedy zauważył leżącą na podłodze gazetę. Podniósł ją. Na pierwszej stronie zamieszczono duży artykuł ilustrowany zdjęciami, opowiadający o wczorajszym zajściu w willi Winsettów. Zamieszczono też oświadczenie Violet Speery, która zapewniała, że przeciwko panu Hagerty'emu nie toczy się żadne postępowanie, oraz wypowiedź Nilesa Winsetta, ostrzegającego wszystkich potencjalnych klientów przed korzystaniem z usług firmy cateringowej panny Carly Westin.

Jack poczuł się paskudnie. Może Carly nie mogła znieść porażki? Może zrobiła coś strasznego? Na przykład rzuciła się pod autobus.

- Znasz pannę Westin dłużej niż ja - odezwał się Ted.

- Czy ona mogłaby zrezygnować z tego bankietu u Violet?

- W żadnym wypadku - odparł bez namysłu Jack. - Carly nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

Nos mu podpowiadała, że także nie umarłaby z własnej woli. Walczyłaby jak lwica, dopóki nie postawiłaby na swoim. Ta jej cecha, która przez cztery tygodnie doprowadzała go do szału, teraz natchnęła go optymizmem. Cokolwiek by się stało, Carly Westin nie poddałaby się bez walki. Rzucił gazetę na podłogę.

- Kto to jest Elliot Edwards? - zapytał Ted, odczytawszy na naklejce nazwisko subskrybenta.

- To jej zwariowany sąsiad. Oddaje Carly swoją gazetę.

kiedy już ją przeczyta. W każdym razie jeszcze cztery dni temu tak robił.

- A co się stało cztery dni temu?
- Elliot się zdenerwował.
- No to widać już mu przeszło - westchnął Ted.
- Może - powiedział Jack i zaraz pomyślał, że wprost przeciwnie, nie tylko mu nie przeszło, ale.... Ciarki przeszły mu po plecach. - Dzwoniłeś do Violet albo na policję?
- Jeszcze nie.
- No to zadzwoń. Powiedz, żeby przysłali tu brygadę antyterrorystyczną. Drugą niech pošlą do ratusza. Jeśli będziemy mieli szczęście, to okaże się, że Carly po prostu pojechała tam bez ciebie.
- A ty dokąd się wybierasz?
- Muszę odwiedzić takie miejsce, które już dawno powinienem był sprawdzić.

Wyłamał po kolei wszystkie trzy zamki, na które było zamknięte mieszkanie Elliota, po czym z impetem otworzył drzwi. Miał nadzieję, że mimo wszystko znajdzie Carly żywą. Nie znalazł. Ani Carly, ani w ogóle nikogo.

To, co zobaczył w mieszkaniu, dowodziło niezbicie, że nie istniejące brwi nie były jedynym dziwactwem Elliota. W rogu pokoju stała nieduża kanapa obita czerwonym pluszem. Poza tym pokój był całkowicie wypełniony różnej wielkości pudłami i pudełkami. Cała podłoga zasłana była papierami.

Na jednej ścianie wisiał ogromny karton, na którym wypisane było wszystkich dziesięć przykazań prawdziwej miłości. Według profesora Winnifielda, oczywiście. Na stole stało pięknie oprawione zdjęcie Carly, na telewizorze drugie, a trzecie wisiało na drzwiach. Wszystkie były zrobione amatorskim aparatem z dużej odległości.

Jack pośpiesznie przeszukiwał niewielkie mieszkanie. Po raz pierwszy nic robił tego zgodnie z przepisami, ale też po raz pierwszy przepisy niewiele go obchodziły. Obchodziła go jedynie Carly. Myślał tylko o tym, żeby ją znaleźć, zanim będzie za późno.

Szperał w szufladach, szukał na półkach. Każdy nowy dowód, który wpadał mu w ręce, stanowił kolejny gwóźdź do trumny Carly. Lawendowa papeteria, książeczka z wierszykami dla dzieci, pusta kabura pistoletu.

Znalazł wystarczająco dużo dowodów na to, że Elliot miał fioła na punkcie swojej uroczej sąsiadki. Były tam długie listy adresowane do Carly, artykuły opisujące zbrodnię Winnifielda i znaczenie, jakie mają dla sprawy zeznania Carly. Był nawet pukiel jej włosów. Ale nie było żadnego śladu, który mógłby wskazywać, dokąd Elliot ją zabrał. I po co.

Skoro Carly tu nie ma, myślał Jack, to znaczy, że Elliot dokądś ją zaprowadził. Ale dokąd?

Wypadł z mieszkania i popędził do windy. Musiał znaleźć Carly. Gdyby jeszcze miał pojęcie, gdzie jej szukać.

- No i co o tym sądzisz? - zapytał Elliot. - Tylko szczerze.

- Wspaniałe - odparła Carly z przesadnym entuzjazmem. Nie wypadało krytykować dzieła człowieka, który celował do niej z pistoletu. Patrzyła na wrzecionowate grzyby wyrastające z ustawionych pod ścianą grubych gałęzi. - Nie wiedziałam, że grzyby shilaki są brązowe.

- Wyhodowałem je specjalnie dla ciebie. To miała być niespodzianka - chwalił się Elliot. - W tej piwnicy jest zimno i mokro. Mają tu idealne warunki.

Rzeczywiście było zimno i bardzo wilgotno. To zapomniane przez wszystkich pomieszczenie pod budynkiem tro-

chę jej przypominało piwnicę w Willow Grove. Z tą tylko różnicą, że tutaj nie było domowych przetworów. Betonową podłogę zaścielały plastikowe płachty, na nich stały stare drewniane skrzynki pokryte grubą warstwą kurzu.

Przez brudne okienko wpadł blady promień słońca, rozjaśniając jej nowe więzienie. Na sznurze do białej bielizny wisiał spłonięty koc, osłaniając jeden z kątów piwnicy. Z sufitu zwisały się pajęczyny, po ścianie wspinał się tłusty karaluch, a na podłodze stały pułapki na myszy ze świeżo wyłożoną przynętą.

Carly zadrżała z obrzydzenia. Mimo to zmusiła się do uśmiechu. Bała się gryzoni, ale jeszcze bardziej lękała się szalonego błysku w oczach Elliota.

Nie zauważyła go, kiedy Elliot przyniósł jej gazetę. Nie tylko nie zwróciła uwagi na nieprzytomny wyraz jego oczu, ale nawet na pistolet, który trzymał w dłoni. Była tak pochłonięta myślami o Jacku, o czekającym ją bankiecie i o swoich sterczących włosach, że dostrzegła broń dopiero wtedy, gdy Elliot w nią wycelował. Zatem kiedy zapytał, czy nie chciałaby pójść z nim na spacer, nie mogła zrobić nic innego, jak przystać na jego propozycję.

Ted śpiewał pod przysznicem i nie miał zielonego pojęcia, co się dzieje ze świadkiem, którego miał ochraniać, więc Elliot bez przeszkód zaprowadził Carly do piwnicy.

- No jak. podoba ci się moja niespodzianka? - zapytał. Zdmuchnął kurz ze skrzynki i wytarł ją rękawem.

- Bardzo. - Carly usiadła na skrzynce.

- Wiedziałem, że ci się spodoba. Niełatwo jest znaleźć świeże shitaki, a jak się pojawiają, to kosztują majątek. Sama mi o tym opowiadałaś.

- A czy nie opowiadałam ci przypadkiem o bankiecie, który dziś urządzam? Zaczyna się za dwie godziny. - Zerknęła na zegarek.

Miała nadzieję, że Ted już zauważył jej zniknięcie. Miała także nadzieję, że ktoś dostrzeżeł goździki, które akurat trzymała w ręku, gdy szła otworzyć drzwi, i które co kilka kroków rzucała na podłogę, zostawiając w ten sposób ślad. Może jedyny ślad, jaki miał po niej pozostać. Żałowała, że nie było przy niej Jacka. On by potrafił wytłumaczyć Elliotowi, że strzelanie do bezbronnej kobiety jest wbrew zasadom. Wszelkim zasadom.

Niestety, tym razem była zdana wyłącznie na siebie. Działo się tak z jej własnej i nieprzymuszonej woli.

Jeśli przeżyję, pomyślała, odnajdę Jacka Brannigana i powiem mu, co do niego czuję. Wyznam mu całą prawdę.

- Wiesz co? Mam pewien pomysł. - Carly już wymyśliła sobie plan ucieczki. - Możemy na tym bankiecie podać grzyby shitaki. Zacznij je zbierać, a ja przez ten czas przyniosę z domu jakąś miskę.

- Mam tu wszystko, czego ci potrzeba. - Elliot uśmiechnął się do niej, jednocześnie pocierając palcem wskazującym cyngiel pistoletu.

A jednak Carly wciąż nie wierzyła, że mógłby ją skrzywdzić. Mimo że celował do niej z prawdziwej broni. W końcu hodował dla niej egzotyczne grzyby, uwielbiał kopytka i nosił czapkę z szopa. Taki człowiek nie mógł być całkiem zły.

- Mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę. - Elliot nie przestawał się uśmiechać.

- Ojej! A ja nic dla ciebie nie przygotowałam. - Carly robiła dobrą minę do złej gry. - Poczekaj, zaraz przyniosę coś, co ci się na pewno spodoba.

Jakaś narzeczona albo lepiej kaftan bezpieczeństwa, pomyślała.

- Nie trzeba mi niczego oprócz ciebie - oświadczył stanowczo.



Podniósł pistolet, ale do niej nie strzelił. Jeszcze. Lufą pistoletu zrzucił na podłogę koc, który dotąd wisiał na sznurze. Oczom Carly ukazało się zielone polowe łóżko i głęboki fotel obity spłóviałym czerwonym pluszem. Na skrzynce udającej stolik leżało kilka ilustrowanych magazynów.

- Trzeba to jeszcze trochę dopracować - powiedział Elliot z entuzjazmem agenta zachwalającego walącą się rudere.

- Przyniosę kilka obrazów, jakiś kilim... Zobaczysz, że będzie przytulnie.

- Chyba nie masz zamiaru mnie tutaj przetrzymywać?

- To jest właśnie ta niespodzianka - oznajmił.

- Ja już złożyłam zeznanie na piśmie - mówiła prędko, bo coraz bardziej się go bała. - Proces profesora Winnifielda i tak się odbędzie. Niezależnie od tego, czy ja się stawię w sądzie, czy nie.

- Niczego nie rozumiesz.

- Na pewno masz rację. Nie wierzę, że mógłbyś mnie tu zamknąć tylko po to, żebym nie mogła zeznawać.

- Jasne, że nie. Chcę, żebyś tu została na zawsze. - Mrugnął do niej porozumiewawczo. - Urządzimy sobie przytulne gniazdko. Jak myślisz, czy zdołamy się utrzymać ze sprzedaży grzybów? Oczywiście tylko do czasu, aż znajdę sobie stałą pracę.

- A więc to wszystko nie ma nic wspólnego z profesorem Winnifieldem? - Carly wstała.

- Ma, ale tylko troszeczkę. - Elliot się zarumienił. - To on mnie zachęcił do wysłania ci tych listów. Kiedy ułożyłam ten pierwszy wierszyk, od razu przesłałam go profesorowi do oceny. Profesor twierdzi, że mężczyzna czasem musi trochę nastraszyć kobietę, jeśli chce, żeby padła w jego ramiona.

No, nieźle, myślała przerażona Carly. Wybrał sobie na doradcę perfidnego mordercę. To Elliot pisał listy z pogroźkami!

- To prawda, najdroższa - mówił Elliot. Sądził pewnie, że oniemiała z radości. - Kocham cię od dawna. Wielbię cię. Teraz już nic nas nie dzieli.

Poza tym naładowanym pistoletem, pomyślała Carly. Ale kto by się tam przejmował takimi drobiazgami.

- Trzeba mi było wcześniej o tym powiedzieć. Moglibyśmy porozmawiać.

- Nie miałem ochoty o tym rozmawiać. Chciałem, żebyś mnie pragnęła. Kiedy kobieta się boi, zawsze szuka oparcia w męskich ramionach. Dlatego postanowiłem troszkę cię nastraszyć. I wtedy pojawił się ten twój kuzyn.

Co ja bym dała za to, żeby mieć teraz przy sobie Jacka. pomyślała Carly. Razem z jego pistoletem i wszystkimi zasadami. Byleby mnie obronił przed Elliotem i innymi szczurami, których tu wszędzie pełno.

- Jack wcale nie jest moim kuzynem. - Carly nie musiała już dbać o uczucia Elliota. Co więcej, nie miała na to ochoty. - Jest moim ochroniarzem. Przydzielono mi go, kiedy zaczęłam dostawać twoje listy miłosne. Nie chciałabym, żeby ci zrobił krzywdę, kiedy nas tu znajdzie, więc może lepiej od razu mnie wypuść.

- On nie jest tylko ochroniarzem. - Elliot nawet nie zwrócił uwagi na jej propozycję. - Widziałem, jak się wczoraj całowaliście na korytarzu.

- Całowaliśmy się na pożegnanie.

- Proszę cię, najdroższa, nie okłamuj mnie. Nie należy rozpoczynać wspólnego życia od kłamstwa. To by nam mogło wszystko zepsuć.

Zepsuć? myślała Carly. Co jeszcze mogłoby się zepsuć?

Bankiet dla Violet już przepadł, ten wariat trzyma mnie na muszce, a Ted nie może chodzić o własnych siłach.

- Ja cię nie okłamuję. Jack wyjechał. Na zawsze.

- Nigdzie nie wyjechał. - Elliot skrzywił się z niesmakiem. - Całą noc przesiedział w samochodzie przed naszym domem.

- Naprawdę?

Carly poczuła niewymowną ulgę, choć wiedziała, że Elliot mógł się pomylić albo celowo wprowadzić ją w błąd. A jednak uczepliła się tej myśli jak tonący brzytwy. Pomyślała, że koniecznie musi uciec stąd o własnych siłach, zanim Jack tu wpadnie i powie „a nie mówiłem”.

- Co właściwie pomiędzy wami zaszło? - zapytał Elliot tonem podejrzliwego męża.

- Zupełnie nic - zapewniła go Carly.

Tylko tego mi brakowało, pomyślała. Uzbrojonego zazdrosnego szaleńca.

- Bardzo bym chciał ci uwierzyć, ale wciąż jestem obrażony. Dlaczego flirtowałaś z tym brutalem? - Odciągnął kurek pistoletu. - Wybacz, najdroższa, ale jeśli jesteś w nim zakochana, będę musiał zrobić coś, czego oboje pożałujemy.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Ja miałabym kochać Jacka Brannigana? - Carly tak doskonale udała zdziwienie, że na dobrą sprawę sama mogłaby się na to nabrać. - Zwariowałeś?

Oczywiście, że zwariował, pomyślała. Że też ja zawsze muszę wygadywać, co mi ślina na język przyniesie.

- Nie wiem, dlaczego wszyscy mi wmawiają, że kocham się w Jacku - paplała, chcąc zagadać nieszczęsne przejęzyczenie. - Ja i Jack różnymi sięjak woda i ogień. Jak skwarki z boczku od kaczki z jabłkami. Nie pasujemy do siebie.

- Nie uważasz, że on jest przystojny? - Elliot nadal jej nie dowierzał.

- W pewnym sensie tak. Jest wysoki, potężny i całkiem niebrzydki, ale są kobiety, które szukają w mężczyźnie czego innego.

- Czy ty też jesteś taką kobietą? - dopytywał się Elliot.

- Jakbyś zgadł. - Carly miała nadzieję, że go przekonała. - Takich facetów jak on można mieć na pęczki. Za to ty jesteś inteligentny, masz własny styl i wyobraźnię. Nie znam wielu ludzi, którzy zdołaliby dostrzec potencjalne piękno tej piwnicy. Światło świec, trochę środka owadobójczego i będziemy tu mieli prawdziwy raj na ziemi.

- Naprawdę tak myślisz? - Wciąż jeszcze jej nie dowierzał. - Skoro korytarz wydał ci się dość romantyczny...

A może tak bardzo pochłonał cię pocałunek, że nie zauważyłaś, gdzie się znajdujesz?

Niełatwo było oszukać sąsiada. Zwłaszcza takiego, który na własne oczy widział, co działo się poprzedniej nocy na korytarzu. Mimo to spróbowała.

- I ty to nazywasz pocałunkiem? Jeszcze teraz mnie trzęsie na wspomnienie tego obrzydlistwa. Zresztą to nie był prawdziwy pocałunek, tylko takie koleżeński gest na do widzenia.

- Ten koleżeński gest trwał ponad dziesięć minut. - Elliot nie wydawał się przekonany. Mówiąc szczerze, sprawiał wrażenie chorego z zazdrości.

Pora na plan B, pomyślała Carly.

- Ojej! -jęknęła.

Pochyliła się, zakrywając oczy dłonią. Brak oryginalności nadrabiała efektami dźwiękowymi. Trochę jęków i bolesnych okrzyków powinno przekonać Elliota, że potrzebna jej jest natychmiastowa pomoc medyczna A co najmniej zwolnienie z konieczności odpowiadania na te wszystkie głupie pytania.

Jednak Elliot pozostał niewzruszony. Stał naprzeciwko niej, niecierpliwie przytupując nogą.

- Nie dam się nabrać na ten twój fałszywy atak spowodowany przez szkła kontaktowe.

- Bardzo mnie to boli, Elliot - poskarżyła się. - Tu jest mnóstwo kurzu, a ja mam wrażliwe oczy.

- Widziałem ten cyrk pół roku temu. kiedy próbowałaś namówić faceta z telewizji kablowej, żeby ci podłączył gratis dwa najlepsze kanały.

Plan B wziął w łeb. Koniecznie muszę wymyślić jakąś nową sztuczkę, uznała.

- A to znaczy, że mnie okłamujesz! - Ogon czapki Elliota miotał się wściekle z boku na bok.

Carly już chciała zaprzeczyć, ale zamilkła. Jej prześladowca miał obłęd w oczach. Ani myślał jej teraz słuchać.

- Same kłamstwa! - krzyczał. - O Jacku też mi nakłamałaś. - Oddychał szybko, pistolet w jego dłoni trząsał się niebezpiecznie. - Nie zgodzę się, żeby mi cię zabrał! Nigdy!

Zanim zrozumiała, co do niej mówił, drzwi piwnicy otworzyły się z łoskotem. Carly tak się przeraziła, że omal nie zemdląła.

- No to mnie zabij, Elliot. Proszę bardzo - rozległ się donośny głos Jacka.

Elliot się odwrócił. Carly chwyciła deskę i uderzyła nią Elliota w rękę, w której trzymał pistolet. Rozległ się strzał, a pistolet upadł na podłogę.

Jack zbiegł ze schodów, rzucił się na Elliota. Obaj z głuchym łoskotem padli na cementową podłogę piwnicy. Elliot wrzasnął dziko i zaraz ucichł. Pięść Jacka trafiła go w szczękę. Stracił przytomność.

W jednej chwili wszystko się skończyło. Carly czuła, jak lodowata krew w jej żyłach robi się coraz cieplejsza. W głowie jej huczało. Nie mogła myśleć o niczym innym, tylko o Jacku, który jak anioł stróż pojawił się przy niej nie wiadomo skąd właśnie wtedy, kiedy najbardziej go potrzebowała. Ocalił ją w ostatniej chwili! Uratował przed niebezpieczeństwem, którego nie chciała dostrzec tylko dlatego, że była zbyt dumna i zbyt uparta, by wysłuchać jego racji.

Otrzeźwił ją szum płynącej gdzieś niedaleko wody. Kula z pistoletu Elliota śmiertelnie zraniła starą skorodowaną rurę biegnącą wzdłuż południowej ściany. Strumień brunatnej wody spływał na podłogę, tworząc kałużę w miejscu, gdzie Elliot zbudował gniazdko dla dwojga i zatapiając całą hodowlę grzybów.

Jack ukląkł przy Elliocie, sprawdził mu tętno. Widocznie

uznał, że nic mu nie będzie, bo zaraz zajął się pistoletem. Podniósł go z podłogi i opróżnił magazynek. Był spokojny, opanowany. Profesjonalista w każdym calu, ale daleki, jakby zupełnie obcy.

Carly musiała natychmiast coś powiedzieć. Cokolwiek, byleby przerwać tę niesamowitą ciszę

- Czy miewasz czasem takie dni, kiedy nic ci się nie udaje? - zapytała.

Spojrzał na nią. Po raz pierwszy, odkąd znalazł się w piwnicy. Wstał, otrzepując spodnie. Podszedł do niej powoli, jak drapieżnik zbliżający się do swojej ofiary.

Carly chciała się cofnąć, ale przypomniała sobie, że tuż za nią leżą pułapki na myszy. Spojrzała za siebie, potem na Jacka. Zupełnie nie wiedziała, co ma ze sobą począć.

Za to on wiedział. Przyciągnął ją do siebie i po chwili byli już z dala od nieszczęsnych pułapek.

- A więc uważasz, że źle całuję? - zapytał.

Carly nie rozumiała, o czym on mówi.

- Podobno dotąd cię trzęsie na wspomnienie tego obrzydlistwa? - Przyglądał się jej swymi szarymi oczami.

- Słyszałeś? - Coraz mniej z tego wszystkiego rozumiała.

- Każde słowo. Przez te drzwi bardzo dobrze słyszać.

Carly marzyła o tym, żeby ją przytulił, uspokoił. Ale on trzymał ją na odległość wyciągniętych rąk. Dotykał jej, parzył na nią, lecz widocznie nie chciał wzajemnej bliskości.

- Aż trudno mi uwierzyć, że pozwoliłeś mi się tu pocić pod lufą tego wariata tylko po to, żeby posłuchać sobie, o czym rozmawiamy! - zawołała. - I ty to nazywasz ochroną! Ciekawa jestem, na co czekałeś. Myślałeś, że Elliot przyśle ci pisemne zaproszenie? A może chciałeś posłuchać, jak mu opowiadam o tym, co się wczoraj stało na korytarzu?

- Musiałem chwilę ochłonać, kiedy się dowiedziałem, że atak płaczu spowodowany przez szkła kontaktowe, jaki mi zademonstrowałaś pierwszego dnia naszej znajomości, to twoja normalna sztuczka. Zachowałaś się tak, żebym się zgodził pomagać ci w obsłudze przyjeź.

- Musiałaś ochłonać? Ty musiałaś ochłonać! Ten świr trzymał mnie na muszce tak długo, że przez ten czas mogła ci wyrosnąć broda. - Carly spojrzała znacząco na jego nieogolony podbródek. - A może zastanawiałaś się, czy w ogóle zasługuję na twoją pomoc? Może chciałaś dać mi nauczkę za to, że złamałam wszystkie narzucone przez ciebie zasady? Ciekawa jestem, jak długo podsłuchiwałaś pod tymi drzwiami.

- Wystarczająco długo, żeby się przekonać, jaka jesteś dzielna i mądra. - Odsunął jej z czoła kosmyk włosów. - Dość długo, żeby zrozumieć, że nie mogę bez ciebie żyć.

To nieoczekiwane wyznanie odebrało Carly resztkę nadwątlonych sił. Było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

- Uderzyłeś się w głowę, kiedy przewróciłeś Elliota?

- Nie. Ale za to uderzyłem Elliota znacznie mocniej, niż było trzeba. - Pochylił się nad nią. Pocałował. - Czułem się cudownie. Prawie tak wspaniale jak teraz. - Wreszcie ją do siebie przytulił. - Tak mało brakowało, żebym cię stracił. Gdyby nie te goździki, rozebrałbym całe Boise. Cegła po cegle.

Trzymał ją mocno, jakby nie miał zamiaru nigdy więcej wypuścić jej z objęć.

- Kocham cię, Jack - szepnęła Carly. Na wszelki wypadek mocno go przytrzymała. Bała się, że ucieknie, kiedy mu to powie. - Może to głupie, ale kocham cię całym sercem. Mimo że zupełnie do siebie nie pasujemy.



- Jak skwarki z boczku do kaczki z jabłkami? - Patrzył na nią czule.

- No właśnie. - Dotknęła palcem jego rozciągniętych w uśmiechu warg. - Ale na pewno jakoś się dogadamy. Ty wiesz, że ja nie lubię słuchać niczyich rozkazów, a ja będę pamiętać, że ciebie nie wolno wpuszczać do kuchni. Zresztą teraz to i tak nie ma znaczenia. Pani prokurator nieźle mnie prześwięci za ten dzisiejszy bankiet. Na pewno nigdy więcej nie da mojej firmie żadnego zlecenia i za żadne skarby świata nikomu jej nic poleci. Będę miała szczęście, jeśli nie każe sobie zapłacić odszkodowania.

- Carly... - Jack położył palec na jej ustach, które bez tego pewnie jeszcze długo by się nie zamknęły.

- Słucham?

- Przestań wreszcie gadać. Pocałuj mnie - polecił. Nachylił się i pocałował ją, pozbawiając tym samym możliwości niewykonania rozkazu.

Całował ją, tulił do siebie tak długo, aż Carly wreszcie zrozumiała, że może być jednocześnie i bezpieczna, i wolna.

- Chciałbym się z tobą kochać - szepnął Jack. - Ale nie w tej przekłętej piwnicy.

- Chyba powinniśmy przestać to robić w takich dziwnych miejscach - zgodziła się Carly.

- Mam pewien pomysł, ale musiałybyś spełnić jeszcze jedno polecenie. - Podniósł jej dłoń do ust i pocałował.

- Chyba za dużo ode mnie wymagasz. - Było jej tak dobrze, że zgodziłaby się na wszystko.

- Więcej niż myślisz. - Jack patrzył jej prosto w oczy.  
- Zostań moją żoną, Carly.

Najpierw się do niego uśmiechnęła, a potem rzuciła mu się na szyję.

- Tak jest! - zawołała, posłuszna jak nigdy dotąd.

- Uważaj, bo się przyzwyczaję - mruknął Jack, zanim znów zaczął ją całować.

- Do czego się przyzwyczaisz? - Roześmiała się, kiedy już mogła swobodnie oddychać. - Do mojego posłuszeństwa, czy do całowania się z tobą w niezwykłych miejscach?

- Do tego, że mam cię w ramionach.

- Jack! - zawołała, jakby nagle przyszedł jej do głowy wspaniały pomysł. - Czy ty wiesz, co to dla mnie znaczy? Mogę sobie dać spokój z cateringiem w Boise! Zacznę wszystko od nowa w Waszyngtonie! Wyobraź sobie tylko, jakie tam są możliwości.

- Wyobrażam sobie. - Pocałował ją w szyję. - Wprost nieograniczone możliwości. A ja zamierzam każdą z nich wypróbować.

Zanim zaczął pierwszą próbę, na schodach rozległ się łomot. To Ted Simmons schodził po betonowych schodkach piwnicy, podtrzymywany z obu stron przez dwóch policjantów z brygady antyterrorystycznej.

- W samą porę się zjawiliście. - Jack próbował kpiną pokryć zmieszanie. - Jest tu pewien facet, który potrzebuje pomocy medycznej i długiego wypoczynku w więzieniu.

- Bylibyśmy prędzej, ale utknęliśmy w tej przeklętej windzie - jęknął Ted, masując sobie kręgosłup. Popatrzył na umeblowany kąć piwnicy, na płynącą z rury wodę i na bezwładne ciało Elliota. - Co się tu właściwie dzieje?

- Właśnie zaręczyłam się z Jackiem - pochwaliła się rozpromieniona Carly.

## EPILOG

Jack wiedział, że małżeństwo z Carly to niełatwe przedsięwzięcie, ale spodziewał się, że przynajmniej z ceremonii ślubnej wyjdzie cało. Zważył w to, gdy zobaczył, jak do przedsionka kaplicy wchodzi z grobowymi minami trzech bracia Carly.

Dokładnie zamknęli za sobą drzwi, po czym zbliżyli się do Jacka. W ten sposób pluton egzekucyjny podchodzi do skazańca.

- Posłuchaj, Brannigan - warknął najstarszy z braci Westin, olbrzym o wdzięcznym imieniu Nicky. - Powiem krótko. Jak chcesz się żenić z naszą siostrą, to musisz mieć mocne nerwy.

- Zgadza się - poparł brata Brad. - Nie trzeba nam w rodzinie tchórza.

- Całkiem obcego tchórza, który chce zabrać naszą siostrzyczkę na drugi koniec świata - dodał Bret.

Jack był zły. Nie rozumiał, dlaczego wybrali sobie akurat ten moment. Za dziesięć minut Carly miała zostać jego żoną. Za żadne skarby świata nie mógł się spóźnić na to spotkanie.

Choć właściwie mógł się tego spodziewać. Od czterech dni, a więc od chwili gdy razem z Carly przyjechał do Willow Grove, żeby pojąć ją za żonę w jej rodzinnym miasteczku, bracia dziewczyny jawnie okazywali mu brak zaufania.

- Chcę, żeby Carly była szczęśliwa - oświadczył.

- Nam też o nic innego nie chodzi - zapewnił go Nicky.
- Tylko nie jesteśmy pewni, czy ty potrafisz ją uszczęśliwić.

Jack spoglądał na przyszłych szwagrów. Sytuacja wcale nie była wesoła. Trzech na jednego!

Wiedział, że nie pójdzie mu łatwo, ale było mu wszystko jedno. Nie przejął się nawet tym, że Carly na pewno nie będzie zachwycona, kiedy się dowie o tej awanturze. Nie mógł pozwolić tym trzem wielkoludom, żeby go wystraszyli, ani tym bardziej, żeby mu ją odebrali. Zwłaszcza po tym wszystkim, co już przeszedł.

- Rozumiem, że mam wam to udowodnić - powiedział.

Zdjął marynarkę i powiesił ją starannie na poręczy krzesła.

- Niezły pomysł. - Bret także zdjął marynarkę, rozluźnił krawat. - Sprawdźmy, z czego jesteś zrobiony, Brannigan.

- Wyjdziemy na dwór, czy wolicie, żeby Carly nas tu zdybała? - zapytał Jack, podwijając rękawy śnieżnobiałej koszuli.

- Jeśli będziemy cicho, to nawet się nie domyśli, co się dzieje - mruknął Bret. On też podwinął rękawy.

Jack się uspokoił. Był zadowolony, że Westinowie grają uczciwie. Nie zamierzali go bić we trzech, tylko każdy po kolei. Miał szansę na uczciwą walkę.

- Popatrz. - Bret podszedł do niego, wymachując zwinioną pięścią.

Jack stał na szeroko rozstawionych nogach, ręce opuścił wzdłuż boków. Postanowił, że dla dobra rodziny pozwoli szwagrowi zadać pierwszy cios.

- Mam to - Bret pokazał mu bliznę na przedramieniu - po tym, jak na swoje dziesiąte urodziny Carly postanowiła zrobić sobie spływ w dół rzeki. W beczce. Popłynąłem za nią i rozciąłem rękę o blachę zatopionego samochodu. Dziesięć szwów.

- Pokaż mu kolano - podsunął Brad.

Bret podciągnął spodnie. Oczom Jacka ukazała się kolejna blizna.

- Miała jedenaście lat. Namówiła mnie, żebym razem z nią wszedł do opuszczonej kopalni. Potknąłem się o jakąś łopatę i wylądowałem w ognisku, które Carly rozpałiła, żeby przepędzić nietoperze. - Rozmasował sobie bliznę. - Przeszczep skóry.

- To jeszcze nic - wtrącił się Nicky. Pochylił się, odgarniając włosy. - Widziałeś kiedy taką bliznę? Carly zdzieliła mnie pogrzebaczem, kiedy trochę za późno wróciłem do domu i nic chciałem, żeby rodzice się o tym dowiedzieli. Tłumaczyła się potem, że usłyszała hałas i myślała, iż jestem seryjnym mordercą.

- Nie miała na nosie okularów - wyjaśnił Brad.

- Doznałem wstrząsu mózgu. - Nicky masował starą ranę. - Przez trzy miesiące widziałem podwójnie.

- A pamiętacie, jak wlaźła na wierzbę? - zapytał Brad.

- Coś już o tym słyszałem. - Jack się uśmiechnął.

- A powiedziała ci, że kiedy straż pożarna zdejmowała nas z drzewa, to ona w tym czasie robiła zdjęcia? - Nicky patrzył na niego wilkiem. - Sprzedała je potem miejscowej gazecie po dolarze za sztukę.

- Chciała sobie kupić książkę kucharską - wyjaśnił Brad.

- A co się działo, jak ugotowała te korzonki, które znalazła nad stawem Wilkinsa? - spytał Bret. I nie czekając na odpowiedź braci, dokończył: - Otruła nas. Wszystkich trzech.

- Mieliśmy płukanie żołądka - pochwalił się Nicky.

- I to podczas szkolnych mistrzostw - dodał Brad. - My trzej graliśmy w ataku.

- Nasza drużyna przegrała sześćdziesiąt dwa do trzech - oznajmił Nicky z ponurą miną.

Jack opuścił rękawy koszuli i włożył marynarkę. Okazało się, że wejście do rodziny Westinów nie było takie groźne, jak się spodziewał.

- Tylko potem nie narzekaj, żeśmy cię nie ostrzegli, Brannigan - oświadczył Nicky. - Jak się ożenisz z Carly, to na zawsze. Na dobre i na złe.

- Przygotuj się na dużo złego - dodał Brad. - Dobrze się zastanów, zanim złożysz przysięgę, której nie będziesz umiał dotrzymać.

- Połamaliśmy sobie kości, ratując naszą siostrzyczkę z różnych opresji, ale nikomu nie pozwolimy złamać jej sercu - dokończył Nicky.

Jack nie umiał im opowiedzieć o swojej miłości do Carly. O tym, jaki był dumny, gdy zeznawała na procesie, gdy dzięki jej zeznaniom sąd skazał Winnifielda za morderstwo z premedytacją. O radości, jaką Carly wniosła w jego życie.

Nawet nie miał jej za złe, że zaciągnęła go na otwarcie nowej cukierni w Willow Grove. Zresztą dzięki temu zobaczył wreszcie Almę bez maseczki i zupełnie trzeźwego Stanleya.

Jak miał wyjaśnić braciom Carly, że bez ich małej siostrzyczki jego życie byłoby niekompletne, a może nawet całkiem puste?

- Nie potrafię przewidzieć przyszłości - powiedział - ale wiem, że kocham Carly bardziej niż własne życie. Więc pewnie jakoś damy sobie radę.

- Tylko tyle? - zapytał najstarszy z braci.

Jack spojrzał na trzech olbrzymów. Każdy z nich miał jakąś bliźnę będącą dowodem jego miłości do Carly. Od Jacka też oczekiwali jakiegoś dowodu. Chcieli być pewni, że zniesie wszystko, co wymyśli Carly.

- Przez dwa lata służyłem w komandosach, a potem dwa-  
naście lat w ochronie - pochwalił się Jack.

To nie zrobiło na Westinach najmniejszego wrażenia.

- Jestem bardzo wytrzymały na ból - dodał.

Bret wzruszył ramionami.

- Mieszkałem z Carly, a mimo to chcę ją poślubić  
- przedstawił najmocniejszy argument.

- W jakim sensie? - warknął Nicky.

- Przydzielono mnie do jej ochrony. - Jack dopiero teraz  
się dowiedział, że Carly nie wspomniała rodzinie o tym, co  
się zdarzyło w Boise.

- Nieźle to sobie wymyśliłeś, Brannigan - roześmiał się  
Bret.

- Niczego sobie nie wymyśliłem. To prawda.

- Naprawdę mieszkałeś z Carly? W jednym mieszkaniu?  
- dopytywał się Brad.

- Przez cztery najdłuższe i najpotworniejsze tygodnie  
mojego życia - zapewnił ich Jack.

- I mimo to żyje! - Bret był pełen podziwu. - Wiecie co,  
chłopa? Wygląda na to, że nasza Carly wreszcie znalazła  
sobie właściwego faceta.